



WIDNOKRAĆ

UKAZUJE SIĘ
Z „NOWINAMI
RZESZOWSKIMI”
Nr 31 (357)
4 sierpnia 1968 r.

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY



NA RYNKU

Fot. M. KOPEC

Halina Leśnicka Problemy i dyskusje

KU CZEMU ZMIERZA SOCJOLOGIA?

Kilka ostatnich miesięcy przyniosło szereg wypowiedzi na łamach prasy, pism naukowych i w telewizji, które z jednej strony starają się wyjaśnić liczne wątpliwości i znaki zapytania, jakie nagromadziły się wokół socjologii, a z drugiej — zdają się raz jeszcze potwierdzić szczególną pozycję tej dyscypliny wśród nauk społecznych. Czytelnik, którego nie stać na brnięcie przez sążniste artykuły, ma prawo również wiedzieć, o co toczy się spór. Rzecz prosta, mniej go będą interesować wewnętrzne problemy tej nauki, interesuje go bardziej praktyczny pożytek z socjologii, to, co może ona oferować społeczeństwu.

Socjologia na naszym gruncie przechodziła różne losy. Wyrzucona za burtę w latach kultu jednostki, rzekomo jako sprzeczna z nauką marksistowską, zdołała wówczas obrósnąć w mity. Gdy w okresie późniejszym rehabilitowano ją jako naukę, nie pozostającą w immanentnej sprzeczności z marksizmem,

gdy przywracano jej należne miejsce na katedrach i w instytutach naukowych, odzyskała ona nie tylko rangę dyscypliny naukowej przydatnej społeczeństwu socjalistycznemu. Równocześnie bowiem pojawiły się głosy, które kreowały ją do roli uniwersalnego narzędzia kierowania procesami społecznymi, jakiejś supernauki czy królowej nauk. Wierzone w to, że potrafi dostarczyć niezawodnych recept na wszystkie bolączki naszego życia społecznego — fluktuacje i migracje, dezintegrację rodziny, przestępczość i alkoholizm, nawet brakoróbstwo i zbyt niską wydajność pracy. Nadzieje takie podsycało i samo środowisko socjologów, szczególnie wśród „kapitanów” naszego przemysłu i działaczy życia społecznego.

Tymczasem zdawać sobie trzeba sprawę, że ta szczególna reputacja socjologii jest co najmniej nieporozumieniem. Przykładem typowego nieporozumienia jest sprawa socjologów zakładowych. O-

kazało się szybko, że ich rola jest ograniczona, że nie są oni „cudotwórcami” — rozwiązanie konfliktów w zakładzie pracy z reguły przekracza ich kompetencje.

TROCHEŃ O METODZIE

Socjologia, jak każda nauka, powinna zmierzać do poznania obiektywnej prawdy, a ponieważ przedmiotem jej zainteresowania jest społeczeństwo, powinna dawać jego obiektywny i coraz pełniejszy obraz. Równocześnie jednak, jak inne nauki, podlega ona uwarunkowaniu ze strony tradycji kulturalnej, ideologii i klasowej struktury społeczeństwa i przez te czynniki zdeterminowanych postaw badaczy wobec rzeczywistości. One to wpływają przecież na wybór tematyki badawczej, metod i technik, selekcję faktów i ich wartościowanie oraz interpretacje.

Jeżeli bowiem na proces badawczy socjologa, działającego w określonych polskich warunkach społecznych, działają będą wpływy obce lub wrogie tej rzeczywistości, to nie może to nie zaważyć na rezultatach badań. W sytuacji takiej kryje się niebezpieczeństwo podporządkowania socjologii celom politycznym, sprzecznym z interesami naszego społeczeństwa. Zdaje sobie z tego sprawę większość socjologów, wśród których żywe są tendencje do nawiązania kon-

(Ciąg dalszy na str. 2)

Jan Bolesław Ożóg

SKARGA

Piachem się snuł czerwony pajak wozu
i klekot kości wciąż słyszałem —
i powój ognia z ścian wąwozu
spadał mi w noży i płomieniem biegi.

Uciekał parząc boki dziki jeleń
i pluł trzmieliną krwi na oczy
i po kamieniach uciekała zieleń
jak woda poprzez śnieg.

Szukałem w ogniu wody
tak jak się szuka
źródeł na górze pod podbiałem
i złotych ziarn na chleb.

Ogniem karmiłem piersi dla ochłody
i — syty — do jabłka białego
darmo dłoń czarną wyciągałem
w jabłonny szczep.

O łach spokoju z omdlenia prosiłem
jak mruży ciepły kocur we śnie
albo daleka na wsi burza.
Wzywał mnie w ogień znów ogromny poryk krów.

Chodziłem przez ogień i ogień
i białe z daleka pląkały czereśnie
jak zawsze ziemia wielkanocna

Wracałem do prostych słów,

Tadeusz Sokół

Przechodzenie przez miasto

I
Chodziłem nocą wśród stukota
butów o asfalt ulic
wstuchany w senny oddech
murów obronnych parku
wpatrzony w niebo stawu
gdzie gwiazdy złote sadzeniaki
ziemniaki drogie jak dewizy
pluskały w toni

Tam błądziłem
w spojrzaniach dziewcząt zakochanych
strapionym biegu do apteki
czujności pana milicjanta
pląsie pijaka śpiewie miasta

Witałem zieleń świtu
oczy kamienic otwierane
światłem żarówek szelest mioteł
butelek mlecznych kastaniety
furgony pieczyw drzwi trzaskanie

II
Nie wiem kim byłem
Czy w mrowisku
kronikę pisze mrówczy święty
w białej koszulce z runa owcy
jak na obrazie Nikifora
Nie wiem kim byłem
Gdy gołębie
stary kolejarz straszyl w niebo
lub wielką rybę papierową
chłopiec nad chaty gonil miasta
ja byłem z nimi w ich radości
ich niepokoju i zmartwieniu
Nie wiem kim byłem
książką chlebem
pajacem byłem czy maskotą
Stawałem w szumie miejskich ulic
i potrącany odpychany
chłonałem niecierpliwość jutra

Wśród młodzieży polskiej, którą w czasie ostatniej wojny losy rzuciły na ziemię węgierską, znalazła się dość pokaźna liczba harcerzy. W czasie kampanii wrześniowej pełnili oni często wojskową służbę pomocniczą, po klęsce nie chcąc się dostać w ręce wroga, wraz z wojskiem i cywilnymi uchodźcami polskimi przekroczyli granicę węgierską i znaleźli się w licznych obozach uchodźców polskich.

Większość z nich, to byli uczniowie szkół średnich, przeważnie z południowych terenów Polski. Znaleźli się oni w pierwszych tygodniach swego pobytu w tym kraju w trudnej dla siebie sytuacji, zdawałoby się, bez nadziei — bez opieki wychowawczej i nauki, bez jaśniejszych widoków na przyszłość.

Młodzież harcerska nie przeżywała jednak w tych warunkach zbyt długo. Gościnni i bardzo życzliwie nastawieni do Polaków Węgrzy, zwłaszcza zaprzyjaźnieni z harcerzami polskimi od czasu złotów w Godollo na Węgrzech i w Spale węgierscy harcerze zorganizowali

Franciszek Świder

Nieznana karta z dziejów przyjaźni węgiersko-polskiej Harcerstwo polskie na Węgrzech w czasie wojny

o około 30 pierwszych harcerzy znalazło się w tym ośrodku i rozpoczęło zorganizowane życie pod kierownictwem ówczesnego naczelnika harcerzy inż. Zbigniewa Trylskiego.

Wkrótce została skompletowana kadra instruktorska i częściowo nauczycielska. Z obozów wojskowych urlopowano i skierowano do pracy z młodzieżą w tym ośrodku harcistrzów i podharcistrzów Ignacego Płonkę, Wilhelma Stiefla i mnie, z

tak że chcąc wszystkich zgłaszających się pomieścić, wprowadzono w sypialniach piętrowe łóżka i przystąpiono do organizowania w sąsiedniej miejscowości Devecser, filii ośrodka. Nieliczną grupę harcerek ulokowano na prywatnych kwaterach we wsi.

Dla harcerzy i harcerek w wieku szkoły podstawowej zorganizowano naukę według programów obowiązujących w Polsce do 1939 r. w szkole powszechnej. Kierownikiem szkoły był początkowo harcistrz Stanisław Chladek, później ja, nauczycielami — instruktorzy harcerscy, z zawodu nauczyciele. Jeżeli chodzi o młodzież szkoły średniej, to dla niej zorganizowano naukę według programów gimnazjum i liceum. Uczyli instruktorzy harcerscy z kwalifikacjami nauczycielskimi.

Ponieważ w filii zgrupowano młodzież nieszkolną, dla niej zorganizowano uniwersytet robotniczy lub młodzieżowy. Kierownikiem filii i uniwersytetu był druh Bronisław Noga, wykładowcami — wychowawcami — instruktorzy harcerscy.

Poza nauką szkolną, którą prowadzili instruktorzy bezinteresownie, organizowano wychowanie młodzieży metodami harcerskimi.

Ośrodek w Somloszolosz był filią ośrodka w Szikszco, który istniał do 1940 r. przed rozpoczęciem pracy z młodzieżą. Liczba harcerzy w ośrodku w Somloszolosz rosła bardzo szybko,

mięsiu oddano dla ośrodka kilka domów o dostatecznej liczbie pomieszczeń. Tam uzupełniono personel pedagogiczny o kilku nowych instruktorów i nauczycieli, co pozwoliło realizować program nauki w obydwóch szkołach w warunkach zbliżonych do normalnych.

W czerwcu odbyła się matura i zakończono rok szkolny. Maturzyści z częścią personelu wychowawczego wyjechali do Francji, a pozostała młodzież wraz z wychowawcami została przeniesiona przez Węgrów do innych obozów. Po klęsce francuskiej, na życzenie Niemców, zlikwidowali oni ośrodek w Szikszco.

Należy dodać, że równocześnie z harcerskim ośrodkiem w Szikszco istniał w latach 1939 i 1940 drugi „nieharcerski” ośrodek młodzieży polskiej ze szkołą podstawową, gimnazjum i liceum w Balatonzamárdi nad jeziorem Balaton. Pracę harcerską i w tym obozie młodzieżowym prowadził polonista i harcistrz Marian Jasiński.

Likwidacja harcerskiego ośrodka w Szikszco i ośrodka w Balatonzamárdi nie spowodowała likwidacji harcerstwa polskiego i jego pracy na Węgrzech. Mimo braku własnego ośrodka rozwijało ono pracę wychowawczą wśród młodzieży polskiej na Węgrzech w latach następujących aż do zakończenia wojny, korzystając nadal z dużej życzliwości i braterskiej pomocy ze strony harcerzy węgierskich.

Po likwidacji ośrodka w Szikszco, harcistrz Bronisław Noga został skierowany do pracy w Obywatelskim Komitecie Opieki nad Uchodźcami Polskimi w Budapeszcie, gdzie w ramach pracy tego Komitetu zajmował się między innymi pracą harcerską jako kierownik harcerstwa polskiego na Węgrzech. Pomocy i rad udzielał mu w tej pracy naczelnik Trylski, który także przebywał w tym czasie w Budapeszcie i instruktorki harcerskie Gierasinska i Różyczkówna.

Poszczególne instruktorzy i wychowawcy ośrodka w Szikszco zostali skierowani do obozów wojskowych i cywilnych, w których przebywała młodzież polska. I tak, w największym ośrodku młodzieży polskiej po roku 1940 w Balatonboglár tę pracę prowadzili obok wspomnianego już druha Jasińskiego inni instruktorzy i nauczyciele. Ja zorganizowałem i opiekowałem się drużynami harcerską i zuchową w obozie wojskowym w Kiskunlacháza w latach 1941-43 i w drugiej połowie 1944 r. pełniąc w tym czasie równocześnie obowiązki kierownika polskiej szkoły podstawowej i nauczyciela obozowego gimnazjum. Podobną opiekę nad młodzieżą harcerską w obozach o mniejszej liczbie młodzieży pełnili instruktorzy harcerscy.

Dla młodzieży harcerskiej zorganizowali oni także obozy letnie i kursy żeglarskie. Pierwszy taki obóz pod namiotami zorganizowano w 1941 roku w miejscowości Szomogyzentimre koło Kadarkutu.

Harcerstwo było niewątpliwie najpoważniejszą organizacją wychowawczą młodzieży polskiej na Węgrzech.

To spowodowało z jednej strony uznanie i szacunek dla jego organizatorów ze strony Polaków na Węgrzech, z drugiej — represje ze strony Niemców po zajęciu i okupacji przez nich Węgier w marcu 1944 r. Między innymi ofiarą bestialstwa niemieckiego padł kierownik harcerstwa na Węgrzech druh Bronisław Noga. Został on przez Niemców aresztowany, torturowany i wywieziony do obozu koncentracyjnego w 1944 roku, skąd powrócił do kraju dopiero w 1945 r. z mocno nadszarpniętym zdrowiem.

Praca harcerstwa polskiego na Węgrzech w czasie ostatniej wojny jest piękną kartą w dziejach organizacji. Dała ona dobre wyniki wychowawcze i przyniosła Polsce Ludowej dużo korzyści.

Większość instruktorów i cała młodzież harcerska powróciła po zakończeniu ostatniej wojny do kraju i aktywnie włączyła się do organizacji nowego harcerstwa. Wielu spośród instruktorów zajęło i pełniło w nim odpowiedzialne funkcje, przyczyniając się do wychowania oddanych Polsce Ludowej i aktywnych obywateli. I tak na przykład druh Stanisław Chladek pełnił przez pewien czas nawet obowiązki naczelnika harcerzy, druh Aleksander Krzewiński był jednym z organizatorów i komendantem chorągwi harcerzy w Toruniu, ja i Bronisław Noga podjęliśmy trud organizacji harcerstwa w naszym województwie. Ja byłem w pierwszych latach istnienia województwa rzeszowskiego zastępcą komendanta chorągwi harcerzy w Rzeszowie, B. Noga był hufcowym w Brzozowie i Przemyslu, podejmował i prowadził także inne prace harcerskie przez cały okres pierwszego dwudziestolecia Polski Ludowej, niemal do ostatnich chwil swego pracowitego życia.

Obok wymienionych i nie wymienionych tutaj instruktorów do pracy w harcerstwie w Polsce Ludowej w innych organizacjach włączyła się większość harcerzy, wychowanków polskich drużyn harcerskich na Węgrzech. Wielu z nich zajmuje dzisiaj w naszym kraju odpowiedzialne stanowiska jako docenci wyższych uczelni, pracownicy instytucji naukowych, dyrektorzy zakładów, dziennikarze, nauczyciele, działacze kultury itp.



Grupa instruktorów harcerskich ośrodka w Szikszco.

wall dla niej szybko pomoc. Już z końcem września 1939 r. Węgierski Związek Skautowy przystąpił do organizowania ośrodka i obozu harcerzy polskich w miejscowości Somloszolosz oddając do ich dyspozycji pałacyk. W pierwszych dniach październi-

o obozu cywilnych uchodźców — Bronisława Noga, Stanisława Chladka, Wenzla, Aleksandra Krzewińskiego, Raszkę, Piechaczyka, Walicę i innych, którzy rozpoczęli pracę z młodzieżą. Liczba harcerzy w ośrodku w Somloszolosz rosła bardzo szybko,

KU CZEMU ZMIERZA SOCJOLOGIA?

(Dokończenie ze str. 1)

taktu z rodzimą, polską tradycją socjologiczną — która zresztą legitymowała się znakomitym dorobkiem i miejscem w nauce światowej. Sami socjologowie widzą także niebezpieczeństwo ulegania „urokom” amerykańskiej socjologii. Taki przypadek spotkał na naszym gruncie teorie tzw. kultury masowej. Nikt nie może przeczyć twierdzić, że nasze społeczeństwo otrzymuje za pomocą środków masowego przekazu wyłącznie już „przeżute” treści kulturalne. Przeczy temu nasza polityka wydawnicza, repertoriowa, która stara się o kontakt odbiorcy z autentycznymi, najlepszymi dziełami kultury i sztuki, przeczy wielki awans kultury naszego społeczeństwa. Fakt, że jest ono coraz lepiej do takiego kontaktu przygotowane, że działa w tym kierunku powszechność oświaty i polityka cen. Zjawiska zaś tandety i szmiry w sztuce stanowią jedynie niewielki margines w naszym życiu, margines bardzo wąski i stale wypierany przez autentyczne wartości kulturalne.

Nie cała bynajmniej polska socjologia dnia dzisiejszego budzi nasze niepokoję. Powyższe uwagi odnieść można tylko do niewielu badaczy i niektórych prac w naszej socjologii. Jest jednak faktem, że właśnie w obrębie socjologii stała się możliwa swego rodzaju indoktrynacja, uleganie obcym nam

ideologicznym poglądom, że właśnie w tej dziedzinie spotkaliśmy badaczy próbujących przekształcić swoją twórczość naukową w narzędzie opozycji politycznej.

Wydarzenia marcowe spowodowały, że zjawiska te wystąpiły jaskrawiej i stały się jasne dla opinii publicznej w naszym kraju. Tendencje te w polskiej socjologii, powtórzmy, objęły tylko niektóre katedry i niektórych socjologów. Ale ilustracją, do jakiego stopnia pogwałcona może być w socjologii „sama natura nauki” — jest przykład czechosłowacki, gdzie właśnie niedawno piórem prof. Andreja Szirocký'ego, sformułowany został program aktywnej opozycji politycznej, skierowanej przeciw „absolutnej władzy partii”, tej partii, która jest jedynym rzecznikiem interesów najszerzych mas.

...I WYBORACH

Nie można więc i w naszych warunkach ignorować politycznych celów, jakie świadomie lub nieświadomie przyświecały niektórym badaniom socjologicznym. Wątpliwości budzi szczególnie predylekcja niektórych kół naszych socjologów do skupiania się wyłącznie na zjawiskach patologicznych w naszym życiu. Nieprzypadkowo tzw. marginesy życia młodzieży, mieszkańców wielkich miast należą u nas do zagadnień najlepiej zbadanych.

Wybór ten, kiedy równocześnie pomija się najbardziej podstawowe problemy naszego społeczeństwa, kiedy nie został jeszcze przez socjologię zbadany proces wielkich przemian w strukturze społecznej i awansu całych klas, proces wielkiej integracji narodowej, staje się co najmniej wątpliwy.

Nie sprzyjało podjęciu tych tematów i rozproszenie badań socjologicznych na wyświeczone tematy, niewiele wnoszące nowego do naszej wiedzy o społeczeństwie (pisano wielokrotnie o tzw. ankietyzmie), i zdominowanie katedr i instytucji naukowych przez grupę socjologów, którzy tego rodzaju zainteresowania badawcze preferowali.

NOWE ZADANIE

Dlatego obecna dyskusja raz jeszcze podejmuje problem zadań, czekających socjologię w najbliższych latach. Mówił o tym w dyskusjach na łamach „Kultury” doc. W. Wesołowski: „Jakie centralne a merytoryczne problemy wysuwają się na plan pierwszy? Pozwolę sobie kilka wymienić: procesy uspołeczniania, w tym formy i funkcjonowanie samorządów, jakościowa rola wykształcenia i procesy profesjonalizacji, kształtowanie się socjalistycznego narodu i barwy współczesnego patriotyzmu, przemiany struktury klasowej i warstwowej, szeroko pojęte procesy przekształceń kulturowych na wsi i w mieście. Szczególnie ważne wydają się zagadnienia związane z przemianami różnorodnych instytucji struktury klasowej społeczeństwa, problem „stylu” konsumpcji, problem świadomości narodowej i socjalistycznej współ-

czesnego Polaka. Nikt przecięt w Polsce obecnie nie zakłada, że jest to świadomość w pełni już zgodna z socjalistycznym pojmowaniem świata, ale wszyscy odczuwamy, że jest to świadomość nowa. Dopiero systematyczna praca badawcza, prowadzona w wymienionych i innych jeszcze kierunkach, a także analiza polityki gospodarczej, społecznej i kulturalnej doprowadzić by mogła do zbudowania teorii społeczeństwa socjalistycznego oraz stworzenia zespołu twierdzeń określających warunki najbardziej sprzyjające jego budownictwu”.

Dodajmy, że wszyscy obecni dyskutanci zgadzają się co do tego, że zadania te wypełnić może tylko socjologia akceptująca naszą rzeczywistość i socjalistyczny kierunek rozwoju naszego społeczeństwa.

Podkreślił raz jeszcze, że niebezpieczeństwa, o których mówiliśmy, dotyczą tylko niewielkiej części środowiska socjologicznego. Istnieje w nim bezspornie zróżnicowanie ideologiczne, składa się ono z uczonych i adeptów różnego formatu intelektualnego. Jest wielką zasługą tego środowiska, że szuka ono własnych dróg w socjologii, że nie boi się krytyki i odcina się od negatywnych zjawisk i obcych naszym narodowi poglądów.

Wydaje się jednak, że potrzebna jest większa niż dotychczas troska o rozwój młodych kadr naukowych w socjologii, o to, by nie ulegały one negatywnym wpływom. Miałyby tu wiele do zrobienia nie tylko katedry i instytucje naukowe, ale i samorządna organizacja środowiska — Polskie Towarzystwo Socjologiczne. (AR)

Ryszard Dzieszyński Przedstawiamy: Wacława Korabiewicza

najwięcej zobaczyć. Ale nie było mnie stać na hotele i miejsca na transatlantykach. Ale podróżować można przecież najprostszymi środkami, takimi, gdzie przede wszystkim liczy się wysiłek mięśni, umysłu, i woli! Zaczęłam podróżować kajakiem. W 1929 roku wybrałam się drogą wodną do Poznania. Towarzyszyli mi na zmianę dwaj koledzy uniwersyteccy... Specjalna komisja sędziowska oceniła nasz wyczyn, przyznając nam tytuł Turystycznego Akademickiego Mistrza Polski... A potem — kajakiem wybrałam się do Stambułu, a następnie do Indii...

Korabiewicz prowadził podczas tych wypraw dziennik podróży, ale bynajmniej nie nosił się z zamiarem opublikowania. Po prostu pisał „dla siebie”, dla własnej satysfakcji. Ale podczas pracy na „Darze Pomorza” zaprzyjaźniony oficer przeczytał pamiętnik z podróży do Stambułu. — „Musisz to koniecznie wydać, to znakomite!” Dzięki temu literatura polska zyskała świetne pióro, nie mówiąc już o tym, że zawsze brakowało nam pisarzy podróżniczych i każda inicjatywa w tym kierunku była przyjmowana przez czytelników z aplauzem.

Nakład drugiej książki — relacji z podróży do Indii — nie doczekał światła dziennego. Został spalony podczas wojny i dopiero po wielu latach autor zdołał odtworzyć ją z pamięci i na podstawie resztek ocalałych notatek. Była to „Zagłom do jogów”. Ale ulubioną książką Korabiewicza stała się relacja z wyprawy do puszczy brazylijskiej. Czytelników zadziwił miłym, szczególnie sympatycznym podejściem do zwierząt. Mamy w naszej literaturze podróżniczej pisarza, odnoszącego się w podobny sposób do egzotycznej fauny: Arkadego Fiedlera. Ale Fiedler przy całej swej miłości do zwierząt, potrafił być również myśliwym. Korabiewicz natomiast chlubi się tym, że nigdy nie polował. Podczas swych podróży Korabiewicz miał możliwość wielokrotnie z bliska obserwować świat zwierzęcy i zdumiewać się jego mądrością. Zwierzęta nie reagują na człowieka, jeśli nie są głodne i jeśli się ich nie zaczepia. Pisarz kapał się w miejscach, gdzie przed chwilą pływały krokodyle i ananody i nic mu się nigdy nie stało. Na jeziorze Wiktorii pluśkał się między hipopotamami, które początkowo parsknęły gniewnie na niego, potem obserwowały z zaciekawieniem, wreszcie najzupełniej przestały się nim interesować. Korabiewicz opowiadał mi następującą historię, zaczerpniętą ze swych podróżniczych wspomnień. Otóż stał raz koło wodopoju, gdzie na pograniczu Kenii i Tanganiki, przy którym gromadziły się przedstawiciele fauny z całej okolicy. Z dali zaczęło dochodzić porykiwanie lamparta. — „Słyszysz pan?” — rzekł towarzyszący mu myśliwy. — „Idzie do wodopoju i porykiwaniem daje znak, że jest syty, że nie należy się go obawiać”. I rzeczywiście zwierzęta przy wodopoju nie zareagowały, tyle tylko, że z respektem ustąpiły miejsca drapieżnikowi, który ugasił pragnienie i poszedł sobie. Opowieść swą zakończył Korabiewicz tymi słowami: „Dzongla

rzadzi się twardymi, ale mądrymi prawami. Panuje w niej bezwzględna walka o byt, lecz nie ma bezmyślności i okrucieństwa”.

Ubolewamy nad przerostem cywilizacji, która niszczy naturę. Szukamy egzotyki i piękna w najdalszych zakątkach świata. Ale zapominamy, że epoka podróżników i odkrywców trwa nadal i nie trzeba wyjeżdżać aż na drugi kontynent, aby odkryć to, co jeszcze nie zostało odkryte. Najślawniejszy polski podróżnik Ferdynand A. Ossendowski, który był w każdym, godnym odwiedzenia zakątku kuli ziemskiej, doszedł na starość do wniosku, że jednak najpiękniejszy kraj na świecie — to Polska. Wacław Korabiewicz jest również tego samego zdania. Podróżnikiem i odkrywcą można być nawet we własnym kraju. Wiele jest jeszcze miejsc niedość odwiedzanych, oznaczających się pięknem, równym brazylijskiej puszczy. Rzadko kto zapuszcza się na przykład w szereg partii Bieszczadów, które stanowią zakątek nie mający sobie równego. Korabiewicz jest miłośnikiem bieszczadzkiej polonin, spędził tam na wędrowkach niejedną chwilę. Wedle pisarza, podróżnikiem jest nie tyle ten, kto wybiera się w dalekie kraje, bo takim może być reporter, albo tzw. turysta masowy, lecz ten, dla którego podróż jest potrzebą wewnętrzną, kwintesencją życia. Tylko podróżnicy w właściwym tego słowa znaczeniu, podróżują w warunkach pionierskich, a sama podróż wnosi coś nowego: — „Podróżnik musi łapać życie nowe, jeszcze nie odkryte i to na gorąco, na żywo” — podsumował pisarz swe wywody.

Wacław Korabiewicz jest również z zamiłowania etnografem. Podczas kilkuletniego pobytu w Afryce pracował w „King George Vth Memorial Museum” w Dar Es Salam w Tanganice. Połowa zbiorów w tym muzeum — to plon jego zbieractwa. Doceniając jego dużą wiedzę w dziedzinie afrykańskiej sztuki ludowej, zaproponowały mu posadę „British Museum” i „Natural History Museum” w Nowym Jorku. Ale Wacław Korabiewicz okazał się niepoprawnym patriotą. Zamiast robić karierę w zagranicznych ośrodkach naukowych, większość znalezionych zbiorów przesłał do Muzeum Kultury Ludowej w Warszawie. Dzięki niemu posiadamy kapitalną wprost kolekcję eksponatów murzyńskiej sztuki ludowej. Również w 1957 roku Wacław Korabiewicz, po powrocie na stałe do Polski, wszystkie cenne posiadane zbiory oddał do tegoż muzeum. Chciał — jak powiedział — aby służyły one narodowi. Korabiewicz jest również autorem pracy z dziedziny etnografii pt. „Sztuka Afryki”.

W chwili, gdy piszę te słowa, Wacław Korabiewicz znajduje się zapewne w Gruzji lub w Armenii. Zainteresowała go sztuka ludowa tych krajów, a w szczególności — ornamenty na dawnych krzyżach chrześcijańskich. Pisarz pragnie doszukać się wpływow z czasów przed chrystianizacją. Sportowiec, lekarz, podróżnik i pisarz odnalazł swą pierwszą pasję — pasję naukową.

Dylematy światopoglądowe

Przesłanki laicyzacji

Pojęcie laicyzacji w naszym słowniku zdobyło sobie prawo obywatelstwa nietawo. Od dziesięcioleci walkę o to prawo prowadziły w Polsce najróżniejsze ruchy postępowe i demokratyczne — ugrupowania robotnicze, lewica chłopstwa, demokratyczna inteligencja. Była to walka nie o słowo, ale o taki kształt stosunków społecznych w dziedzinie wyznaniowej, który zabezpieczałby wszystkim ludziom rzeczywistą wolność sumienia i wyznania, tolerancję, niezależność życia publicznego od wpływów instytucji wyznaniowych, przede wszystkim katolickiej hierarchii kościelnej.

Walka o świeckość (pojęcie to odpowiada pojęciu laicyzacji) wyrosła w Polsce w konkretnej sytuacji, która w latach drugiej niepodległości (1918—1939) przeczyła wyżej wymienionym dążeniom. W latach tych wpływy kościelno-klerykalne na niereligijne dziedziny życia były ogromne. Można tu przypomnieć niektóre tylko sprawy, np. przymus religijnego kształcenia w szkole państwowej dla wszystkich dzieci, bez względu na to czy rodzice ich życzyli sobie takiego kształcenia czy też nie, czy niemożność zawarcia związku małżeńskiego poza Kościołem w większej części państwa, ponieważ ówczesne państwo nadało Kościołowi monopol w tym zakresie, takie wreszcie, jak ścisły związek państwa z Kościołem. W wielu sprawach państwo traktowane było przez czynników kościelnych, jako instytucja usługowo-pomocnicza, np. przy przymusowym ściąganiu podatków kościelnych, usuwaniu ze stanowisk tych księży, którzy nie chcieli dobrowolnie ustąpić z parafii i w innych, tym podobnych.

Przed wszystkim — rozdział od państwa

Te dążenia kół kościelnych do podporządkowywania swojej dyspozycji różnych dziedzin życia publicznego określiśmy mianem klerykalizmu i integralizmu.

Historycznie patrząc na rozwój walki o świeckość życia publicznego w Polsce, trzeba widzieć w dążeniach do zeświecczenia stosunków społecznych przede wszystkim ich antyklerykalną wymowę i próbę przeciwstawienia się nieuzasadnionym niczym zjawiskom wkraczania władz kościelnych i wspierających je sił prawicy w sferę życia pozareligijnego, świeckiego ze swej natury. Walka o świeckość życia publicznego nie miała natomiast nie wspólne-

go z próbami ograniczania rzeczywiste religijnych praw związków wyznaniowych, jak to próbowali sugerować wierzącym rzecznicy klerykalizmu. Walka o świeckość stosunków społecznych zawsze miała w Polsce charakter ruchu na rzecz demokratycznych rozwiązań problemów wyznaniowych, w sposób podobny rozwiązaniom w wielu krajach, takich np. jak Francja, Stany Zjednoczone i inne.

Uwidacznia się to zwłaszcza w konkretnych hasłach zwolenników laicyzacji. Od dziesięcioleci domagali się oni przede wszystkim rozdziału Kościoła od państwa, zerwania konkordatu, który gwarantował Kościołowi nieuzasadnione przywileje poza Kościołem: w państwie, w ustawodawstwie, w życiu publicznym. Hasła obejmowały także zniesienie przymusu religijnego kształcenia dzieci w szkołach, wprowadzenie świeckiego ustawodawstwa małżeńskiego itp. rozwiązań, które z jednej strony uniezależniałyby życie publiczne od klerykalnego nadzoru, z drugiej zaś pozostawiały Kościołowi pełną swobodę w zakresie stanowiącym istotę jego działalności, tj. w działalności ściśle religijnej.

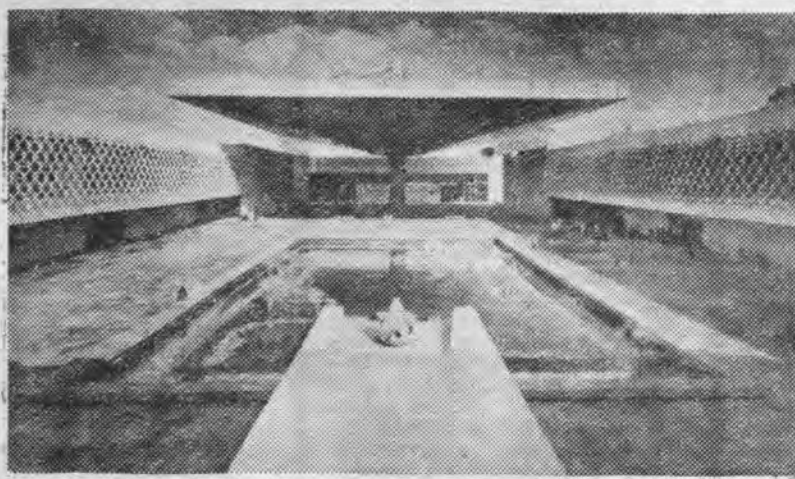
Dla celów ogólnodemokratycznych

W latach drugiej niepodległości, w warunkach ścisłego powiązania burżuazyjnej państwowości z kołami kościelnymi, dążenia sił postępowych nie mogły być zrealizowane. Dopiero w Polsce Ludowej wymienione hasła zostały wprowadzone w życie. Już w roku 1945 zniesiono przymus religijnego wychowania w szkole państwowej, ujednolicono ustawodawstwo małżeńskie, wprowadzono ślubny cywilny, przejęto od kancelarii parafialnych akta stanu cywilnego, wypowiedziano konkordat zamykany w latach wojny przez Watykan. W r. 1952 w Konstytucji PRL przyjęto zasadę rozdziału Kościoła od państwa oraz zasadę wolności sumienia i wyznania. Tym samym po raz pierwszy stworzono realny grunt dla rzeczywistej równości obywatelskiej w życiu społecznym, niezależnie od stosunku poszczególnych obywateli do spraw religii.

Procesy te miały ogromne znaczenie polityczne. Usuwały one poprzednio istniejące (w warunkach klerykalizacji życia publicznego) przesłanki podziałów w społeczeństwie według kryteriów wyznaniowych. Z tych m. in. względów usunięto z wszystkich akt personalnych rubryki, w których — w latach drugiej niepodległości — wykazywano wyznanie wszystkich mieszkańców Polski. W ten sposób niejako urzędowo stwierdzono, że dla państwa postawa obywateli wobec religii jest kwestią obojętną.

Zjawiska tu omawiane składają się na proces zeświecczenia stosunków publicznych organizowany w sposób świadomy. Został on wywołany w imię osiągnięcia w tej dziedzinie celów ogólnodemokratycznych. Było to jednak błędem sprowadzanie procesów zeświecczenia wyłącznie do świadomej działalności ludzi, postanowień prawnych, ustawowych, organizacyjnych itp.

(Ciąg dalszy na str. 4)



Miasto Meksyk — Muzeum Antropologii przy Paseo de la Reforma, projektu architekta Pedro Ramirez Vasqueza. CAF — MEKSYK, KOM. OLIMP.

ARCHITEKTURA
MEKSYKU

Korespondencje ◆ Polemiki ◆ Dyskusje

Redakcja „Widnokręgu”



W czasie otwarcia Archiwum Artura Malawskiego w Przemyślu spotkali się najbliżsi kompozytora: dr Jan Theobald z Poznania i Dacko z Wrocławia.

Dzięki niestrudżonym staraniom i zabiegom ob. red. Marii Cecylii Guziołek odbyły się w b. roku w Łańcucie, Rzeszowie i Przemyślu uroczystości związane z wystawieniem dzieł, utworów itp. ku czci siostrzeńca mego, Artura Malawskiego, kompozytora i profesora muzyki.

Jako nestor rodziny Theobaldów, z której pochodzi Matylda Malawska, siostra moja i matka Artura Malawskiego, pozwałam sobie w związku z powyższym złożyć ob. red. Marii Cecylii Guziołek najgorętsze i najserdeczniejsze podziękowanie za Jej starania i zabiegi wokół zorganizowania wyżej wspomnianych uroczystości i wystaw.

kreślę się z poważaniem
DR JAN THEOBALD

Zbigniew Wawszczak

U STÓP

Krajobraz tu płaski, równinny, pocięty szachownicą pól i pasmami lasów, niczym właściwie nie przypominający pofałdowanego bądź też wręcz górskiego pejzażu ziemi przemyskiej. A przecież i te okolice stanowią jej integralną, najdalej na północ wysuniętą część. Tu właśnie, na pograniczu polsko-radzieckim, na obszarach rozległej depresji rozłożyły się wsie Stubno, Nakło, Hruszowice, Kalników.

Wybrałem ostatnią z nich, Kalników. — Tam może pan zobaczyć na ogół współżycie mieszanej społeczności, składającej się z Polaków i Ukraińców — poradził mi nie-

wa. Jest ich znacznie więcej, o wszystkich postaram się opowiedzieć.

Władysław Polny, który już od wielu lat prezesuje kalnikowskiej GRN — i chyba nie najgorzej wywiązuje się ze swych obowiązków — należy do ludzi rozmiłowanych w barwnej, nierzadko dramatycznej przeszłości tego skrawka Polski. Jest to postawa godna aprobaty, jako że od zainteresowania i ukochania rodzinnej miejscowości, czyli mniejszej ojczyzny, wiedzie droga do miłości całego kraju. W wypadku Polnego sytuacja jest paradoksalna: on, obcy przybysz, wywodzący się z przeciwleg-



żle zorientowany w realiach powiatu, kierownik Wydziału Kultury PRN Ryszard Stączek.

Już u wjazdu do wsi wita nas egzotyczny obrazek: dwa bocianie gniazda, pełne wyglądającego z nich drobiązgu, ułożone na potężnej, starej gruszy. Właściciel gruszy gospodarz Stefan Sroka, wskazuje na krytą strzechą stodołę sąsiadów: tam również dwa bocianie rody założyły swoje siedziby.

Narzucająca się obecność tych sympatycznych ptaków potwierdza tylko wcześniejsze spostrzeżenie z mapy i z obserwacji mijanych krajobrazów: dużo tu stawów, podmokłych gruntów, rozlewisk wodnych. Bocianie gniazdo na szczycie dachu co drugiego nieomal domu nikogo nie dziwi.

A martwił się przewodniczący tutejszej gromadzkiej rady, że brak w Kalnikowie jakichś atrakcji turystycznych. Mogą nią być bociany. Tuż po powrocie z tamtych stron wpadła mi w ręce notatka „Życia Warszawy” o wycieczce grupy kanadyjskich turystów-ornitologów. Dopiero co odbyli wędrowkę po Polsce, kierując się szlakami wodnego plectwa i wyjeżdżają ogromnie zadowoleni. Więc gdy gdzieś na Mazurach zabrakło pocziwych boćków (do niedawna zresztą spełniających bardzo poważne funkcje wychowawcze, wystarczy wspomnieć o odpowiedzi, którą raczono podrastające pociechy: Mamusi? A skąd się wziął? Bocian cię przyniosł!), Polecam Orbisowi Kalników. Bocianów jest tam bez liku (rym nie zamierzony!).

Prawdę mówiąc, niejedną to turystyczna atrakcja odległego o trzydzieści kilometrów od Przemyśla Kalniko-

wego zakątka kraju, spod Częstochowy, zna te strony, ich przeszłość i dzień dzisiejszy znacznie lepiej aniżeli rodowici mieszkańcy. Znajomość współczesnych problemów, umiejętność ich racjonalnego rozwiązywania należy niejako do jego zawodowych obowiązków — jako gospodarza gromady. Ale już historia odległa, strzępy wiadomości spisywane skrzętnie z rozmaitych publikacji, zbierane od ludzi wiadomości o dawniejszych stosunkach pomiędzy wsią a dworem, echa zamyślonych już w pamięci potyczek, bitew, których świadectwem jest chociażby ogromny kopiec u wjazdu do Kalnikowa — to wszystko już prywatne hobby przewodniczącego. W wolnych chwilach pan Władysław pisze kronikę Kalnikowa. Zapewne nie będzie to kronika, która mogłaby zaimponować historykowi. Czyż jednak ktośkolwiek mógłby tego wymagać od człowieka, który nie miał okazji, aby odbyć jakieś pobieżne chociaż studia historyczne?

Ale kronika jeszcze niekompletna, już budzi zainteresowanie, już wypożyczyli ją znajomi z Przemyśla.

— Chciałbym uporządkować i skończyć kronikę — zwierza się — przepisać w paru egzemplarzach na maszynie, tak, aby mogli z niej korzystać ludzie, których interesować będą dzieje tych stron.

Przejeżdżając przez wieś w drodze do Prezydium GRN, dostrzegliśmy (oprócz bocianów, o których było na początku) nowe, przeważnie murowane domki, ułożone tu i ówdzie obok starych, krytych strzechą chat. Przyznam, że widok ten tak oczywisty we wsiach podmiejskich, tutaj, z dala od ośrodków przemysłowych, mile

O autorze „Z Brazylii w widły Wisły i Sanu”

Dobrze się stało — nawet bardzo — że Ryszard Dzieszynski w artykule „Z Brazylii w widły Wisły i Sanu” (Widnokrąg nr 29 (1968) przypomniał Rzeszowowi i okolicy ciekawą i barwną postać Jerzego Ostrowskiego, dyrektora M Gimnazjum w Rzeszowie. Dla R. Dzieszynskiego — tak mi się wydaje — Jerzy Ostrowski jest postacią kontrowersyjną. Jeśli tak, to przede wszystkim dlatego, że autor albo nie zna, albo też nie chce podać pewnych szczegółów z jego życia. Nie zamierzam na tym miejscu dawać nowej lub skorygowanej sylwetki Jerzego Ostrowskiego — chyba lepiej zrobiłoby to jego żona Ewa, docent UJ — ale ponieważ utrzymywałem z J. Ostrowskim wcale ożywione stosun-

ki — podaję kilka szczegółów z jego życia.

Pozornie należał do „obozu rządzącego” tj. sanacji. Był nawet jakiś czas przewodniczącym rzeszowskiego Oddziału Związku POW (Polskiej Organizacji Wojskowej) działającej w okresie I wojny światowej. W pewnym momencie — chyba po ostatnich wyborach do Sejmu, ok. 1937 roku — prawie zupełnie zerwał z POW, bez osłonek motywując, że ówczesne władze są antydemokratyczne, że nie spełniają życzeń społeczeństwa.

W r. 1938 został rozstrzygnięty konkurs ogólnopolski na sztukę sceniczną. Mimo że napłynęła wielka ilość prac, I nagrody nie przyznano w ogóle, natomiast jedną II zdobył właśnie J. Ostrow-

ski. Tematem sztuki była Rewolucja Październikowa. Mimo tak wysokiej oceny żaden polski teatr nie pokusił się podjąć jej wystawienia.

R. Dzieszynski na ogół dobrze orientuje się w życiorysie J. Ostrowskiego, popełnił jednak kilka nieścisłości.

Książka „W widłach Wisły i Sanu” wyszła w roku 1938. Była owocem objazdu terenu COP (Centralnego Okręgu Przemysłowego) w okresie wakacyjnym w r. 1937, na „znakomitym” motocyklu. Objazd dokonany był razem z żoną Ewą. Pieniądże na motor zdobył J. Ostrowski nie za „Widły...”, ale wydawnictwa związane z Brazylią. Natomiast w Kanadzie był latem 1939 roku, skąd wrócił tuż przed wybuchem wojny.

Wypada z opowieści R. Dzieszynskiego, że Ostrowski został aresztowany w Rzeszowie i to jeszcze we wrześniu 1939 r. Otóż nie, Ostrowski czując się żołnierzem, jak tyśiące innych Polaków, chciał przedrzeć się na Węgry, a następnie dalej na zachód do polskiej armii. Właśnie w czasie przekradania się, bodaj czy nie w październiku 1939 roku został aresztowany chyba w Karpatach i po jakimś czasie wywieziony do obozu do Oświęcimia. Tam zetknął się ze swoimi uczniami z II Gimnazjum. Opowiadali mi, że był pełen wiary i zachęcał swoich uczniów do wytrwania, że klęska Niemiec musi nastąpić. Dopiero z Oświęcimia został przewieziony do Mauthausen, gdzie zmarł. Niewątpliwie skazany uprzednio na śmierć.

Na zakończenie powtarzam; należy ukazywać ludzi z niedawnej przeszłości takich jak Jerzy Ostrowski.

FRANCISZEK KOTULA

DAWID OJSTRACH — DYRYGENTEM

W 1964 roku, u szczytu światowej sławy skrzypka — wirtuoza, Dawid Ojstrach rozstał się z instrumentem i stanął za pulpitem dyrygenta. Również i w tej dziedzinie wykazał niezwykle wysokie kunszt artystyczny.

W nadchodzącym sezonie muzycznym Ojstrach poprowadzi w Filharmonii Moskiewskiej cykl koncertów poświęconych swemu ulubionemu kompozytorowi Brahmsowi. W koncertach tych wezmą udział wybitni soliści — pianiści Jakub Flier i Jakub Zak oraz skrzypkowie Igor Bezrodny i syn Dawida Ojstrach — Igor.

(KI-PAP)

PRZESŁANKI LAICYZACJI

(Ciąg dalszy ze str. 3)

Dwa nurty

Badania historyków i naukowców z innych dziedzin nauk humanistycznych, zwłaszcza socjologów, wskazują, że procesy zeświecczenia mają w wielu dziedzinach charakter obiektywny. Przynoszą one w konsekwencji zobojetnienie religijne.

Jest przecież faktem, że nawet w tych krajach, gdzie religia katolicka jest religią państwową, jak np. we Włoszech, procesy obumierania religijnych zainteresowań są niezwykle głębokie. Odnosnie Włoch np. jeszcze w r. 1957 kardynał Wyszyński po powrocie z wizyty, którą złożył w Watykanie, oświadczył wobec kilkuset księży, że na około 50 milionów Włochów około 20 milionów trudno już uważać za katolików, ponieważ stali się religijnie obojętni.

Jak wskazują badania socjologiczne, u podstaw tego typu zeświecczenia znajduje się spłot najróżniejszych czynników. Wśród nich można wymienić urbanizację, umasowienie kultury w istocie swej świeckiej, migracje ludności, osłabiające więzi parafialne, skierowanie głównych zainteresowań ludzi w stronę spraw religijnie obojętnych, jak praca zawodowa, najróżniejsze rozrywki kulturalne (telewizja, radio, kino, teatr, książka), nauka, sport, turystyka i szereg innych, które powodują, że w życiu współ-

czesnego człowieka sprawy religii zajmują coraz to mniej miejsca i w coraz mniejszym stopniu przyciągają jego uwagę.

Biorąc pod uwagę to, iż procesy religijnego zobojetnienia są masowe, występują coraz szerzej i systematycznie pogłębiają się, konieczne jest pozytywne propagowanie przede wszystkim zasad etyki świeckiej i rzetelnej wiedzy filozoficznej, marksistowskiej filozofii i ideologii społecznej. Jest to naturalny nakaz, wynikający z założeń kształtowania społeczeństwa socjalistycznego. Nie można bowiem dopuścić do sytuacji, w której kryzys religijności przekształcałby się choćby tylko w niektórych środowiskach w kryzys ideowego zaangażowania w ogóle. Można również zakładać, że do części religijnie obojętniejących mogą docierać obiegowe, wątpliwej jakości wzorce postępowania, takie, które można obserwować np. w niektórych środowiskach nowego mieszczaństwa, style życia oparte na egoizmie i egocentryzmie.

Analiza współczesnej laicyzacji pozwala zatem wydobyć w niej dwa nurty — jeden świadomie organizowany, obliczony na uwolnienie życia publicznego od wpływów klerykałnych, i drugi, obiektywny i żywiołowy, który domaga się znacznego rozszerzenia i rozwinięcia programu laicyzacji w warunkach współczesnego społeczeństwa.

WIESŁAW MYSŁEK

TATARSKIEGO KOPCA

mnie zaskoczył. Rozmowa w Prezydium, gdzie oprócz przewodniczącego zastaliśmy również sekretarza, Michała Frankowa, potwierdziła nasze wstępne spostrzeżenia. Kalników jest w trakcie przebudowy, nowych domów wybudowali sporo zarówno indywidualni gospodarze, jak i członkowie tutejszej spółdzielni produkcyjnej.

— Dawniej była to wieś biedna i zaniedbana — opowiada sekretarz Frankow. Sytuacja ta zmienia się z roku na rok. Nie będę utrzymywał, że wszystkim ludziom powodzi się u nas znakomicie, ale nikomu już dzisiaj nie brakuje chleba. Kiedyś nawet jeszcze przed ostatnią wojną wypadki takie nie należały do rzadkości.

— Ruch budowlany — wtrącił się przewodniczący — rozpoczął się przed kilku laty. Najważniejszy jest początek, gdy wybuduje się jeden, to i sąsiedzi zamieszkujący starą, drewnianą chałupę, będzie odtąd odkładał każdy grosz na nowy dom. To jest sprawa ambicji, i sądzę, że w naszej wsi takie ambicje zostały rozbudzone.

Fakt, że wieś jest położona daleko od zakładów przemysłowych, że niewielu ludzi pracuje tu poza rolnictwem — na pewno hamuje przemiany urbanizacyjne. Ale z drugiej strony, doskonałe rozwinięta produkcja materiałów budowlanych sposobem gospodarczym — poważnie ułatwia budowlane poczynania...

— A jak kształtują się sąsiedzkie stosunki pomiędzy mieszkańcami pochodzenia polskiego i ukraińskiego? — pytam.

— Bardzo dobrze. Prawie żadnych tarć, niesnasek na tle narodowościowym nie notujemy. Ludzie przemieszani są tu z sobą od niepamiętnych czasów, żenią się między sobą, wspólnie wychodzą do prac społecznych, ot chociażby wybudowaliśmy drogę przez wieś, przedtem nie było tu ani kawałka solidnej drogi.

— Oczywiście trafiają się kłótnie, spory, ale to wszystko w takich samych granicach, jak i w innych wsiach, czysto polskich. A to krowa weździe w szkodę albo kury zniszczą grządki. Są to więc normalne sąsiedzkie niesnaski, kryteria narodowościowe nie odgrywają przy tym żadnej roli.

— Obserwujemy natomiast pewne rozterki na podłożu religijnym.

— Religijnym? — pytam niedowierzająco.

— Tak — śpieszą z odpowiedzią gospodarze. — Bo my tu mamy właściwie dwa obrządku łaciński i prawosławny, obydwa mają mniej więcej jednakową ilość wyznawców.

Jak wywnioskowałem z późniejszych obserwacji równowaga pomiędzy łacinnikami i prawosławnymi jest dosyć chwytliwa. I jedna i druga strona rada by przeciągnąć niezdecydowanych na swoją stronę.

— Zdarzają się więc rzeczy zabawne — mówi prezes. Oto mąż chodzi do kościoła, a żona do cerkwi, kombinacji takich może być zresztą więcej. Zdarza się np., że ojciec zabrania synowi chodzić do dziewczyny, dlatego, że ona chodzi do kościoła itp. Ale młodzi coraz mniej sobie robią z tego rodzaju „zakazów”, bo młodzież jest taka jak wszędzie w Polsce. Ciekawa życia, garna się do szkół, do fabryk, nęci ją nowe, nudzą utrzymujące się u star-

szego pokolenia uprzedzenia, przesady.

Zagadaliśmy się, a tu przecież czas ruszyć na wieś. W towarzystwie przewodniczącego łatwiej nam będzie dotrzeć gdzie trzeba. Mijamy starannie utrzymany otynkowany, niewielki domek. Mieszka tu przewodniczący kółka rolniczego, Stanisław Kalandyk. Już na pierwszy rzut oka z wyglądu zabudowań gospodarczych można wnioskować, że to dobry gospodarz.

Niestety, drzwi zamknięte. Bawiące się na podwórku dzieciaki informują nas, że tatuś poszedł do żniwa.

Zatrzymujemy się w obrębie zabudowań pegeerowskich. Ach, więc to tutaj rosną wspaniałe lipy, o których przewodniczący wspominał już wcześniej. Idziemy od drzewa do drzewa, są doprawdy imponujące, potężne, mocne, bynajmniej nie wypróchniałe. Do otoczenia pnia największej — trzeba by chyba z dziesięciu ludzi.

Park jest zaniedbany. Najważniejsze przecież, że nie dewastuje się starych, pięknych drzew. Gdy PGR mocniej stanie na nogach, będzie można uporządkować park. Może zresztą należałoby to zrobić wraz z gromadą? Może wspólnymi siłami udałoby się zorganizować przedszkole i plac zabaw dla starszych dzieci? Dzieci w Kalnikowie jest bardzo dużo, wybudowana przed laty w czynie społecznym szkoła jest już dziś za ciasna.

Pośród trawy pan Władysław pokazuje nam zarysy fundamentów baszki zamkowej. Był tu kiedyś obronny zameczek, wybudowano go w XVII wieku, niestety, zniszczył w pierwszych powojennych miesiącach. Podobno rozebrali go mieszkańcy Kalnikowa, na wszelki wypadek, aby folwark już więcej nie wrócił. Ta informacja mnie zastanawia: widocznie wieś nauczona wielowiekowym doświadczeniem obawiała się, że mimo wszystko folwark może jeszcze wrócić!

I to wszystko działo się we wsi, która przynajmniej na ostatniego dziedzica nie miała szczególnych powodów do narzekania. Właściciel Kalnikowa Orzechowicz, należał raczej do światłych ziemian, podobno bardzo interesował się przeszłością kraju, gromadził rozmaite pamiątki historyczne i przekazywał je do zbiorów Ossolineum we Lwowie. Ale i najświetlejszy ziemianin nie potrafił zmienić charakteru stosunków między dworem a wsią. Mechanizm ucisku społecznego, najwyżej złagodzony odrobinę, funkcjonował wszędzie jednakowo.

W położonym naprzeciw parku neogotyckim, niewielkim kościele oglądamy tablicę, przyczynkę do dziejów tych stron. Z napisu na tablicy ozdobionej autentycznym, dużym pociskiem armatnim dowiadujemy się, że Kalników przechodził ciężkie chwile w czasie pierwszej wojny światowej. Przez dwadzieścia dni, w czerwcu 1915 roku stał tutaj front austriacko-rosyjski.

Cheiałbym dowiedzieć się co nieco o życiu kulturalnym Kalnikowa. Kierujemy się w stronę stałego kina. Operator przewija właśnie taśmę filmu „Don Gabriel”, który będzie wyświetlał w najbliższą sobotę i niedzielę. Porażnie nie rokuje jednak frekwencji. W tym samym budynku co i kino mieści się również klub „Rolnika”. Mamy pecha, prowadząca go pani Władzia gdzie wyszła. W powrotnej drodze przez o-

powiada, że we wsi istnieją dwa zespoły teatralne, ukraiński i polski, że od czasu do czasu wystawiają jakieś sztuki, ten ostatni dawał „Grube ryby” Bałuckiego i jedną z komedii Fredry. Jest również biblioteka gromadzka.

Podjeżdżamy do szkoły. Kierownik dopiero co wrócił z wakacyjnego kursu w Rzeszowie. Jest to młody mężczyzna o powierzchowności studenta, rzeczywiście zaczął zaoczne studia, ale zawieszenie komunikacji autobusowej do wsi z powodu naprawy mostu i inne kłopoty sprawiły, że przerwał naukę. Owszem, z Kalnikowa jest zadowolony pracuje tu od kilku lat.

Szkoła już za ciasna. Ale największy kłopot z kadrami nauczycielską. Co roku zmienia się grono pedagogiczne. Powody? Daleko od miasta, nie najlepsze mieszkanie, może jeszcze inne...

Trzeba będzie powiększyć szkołę. Ale planując rozbudowę nie wolno zapominać o mieszkaniach. Wygodne, nowoczesne mieszkania na pewno związałyby ludzi na stałe z Kalnikowem. To jeden z problemów odrobinę dalszej przyszłości. Jeszcze bowiem w tym roku wieś rozpocznie w czynie społecznym budowę ośrodka zdrowia, że bardzo potrzebny dla nikogo nie ulega wątpliwości.

Pora już żegnać uprzejmych gospodarzy, ale oto nieoczekiwanie dowiaduję się, że w cerkwi można obejrzeć stare ikony. Byli tu specjaliści z Łańcuta i orzekli, że jedna z nich pochodzi z XVI stulecia. Sam budynek cerkiewny nie jest ciekawy, liczy około stu lat. Rzeczywiście w cerkwi znajduje się kilka ładnych ikon.

Już zamykając drzwi na kłódkę towarzyszący nam dziadek Terlecki proponuje obejrzenie dzwonów. — Jak chęćcie to Wam zadzwonię! — powiada zachęcająco. Z wprawą mężczyzny w sile wieku blisko osiemdziesięcioletni dziadek chwytając sznury trzech dzwonów i za chwilę ich tony wypełniają drewnianą dzwonnice. Dziadek dwoi się i troi, dzwoni jak za czasów swej młodości. A lubi to zajęcie, uprawia je od czterdnastego roku życia.

— Dziadku! Jeszcze będziecie mieć jakieś nieprzyjemności z powodu tego dzwonięcia — mówimy, gdy ucichły dzwony.

— Ee tam, najwyższe ludzie pomyślał, że znowu ktoś umarł — z chytrą miną odpowiada Terlecki i jego ogorzała, pomarszczoną twarz rozjaśnia uśmiech. Jakże tu nie śmiać się z dziadkowego fortelu?

— Ale, ale — przypominam sobie — a co to za kopicie, taki z krzyżem, który znajduje się niedaleko zakrętu na moście nad Wisznia?

— Wie pan, z tym kopcem wiąże się legenda — tłumaczy przewodniczący. — Powiadają ludzie, że był tam kiedyś jakiś zamek i kościół, obwarowany, otoczony wałami i fosą, pełną wody. Kiedyś wpadli tu Tatarzy, jeden z nich przerwał się przez umocnienia i wtargnął do zamku. A wtedy wszystko zapadło się, ziemia pochłonęła Tatarzyna wraz z koniem. Starzy ludzie utrzymują — Polny śmieje się — że raz w roku można tam usłyszeć nawoływania i krzyki owego Tatarza.

— Czy Pan coś słyszał? — żartuję.

— Ale skąd, jak dotychczas nie udało mi się — odparowuje przewodniczący.

Legenda jak legenda, jest barwna i godna uwagi. Bo z pewnością jest w niej jakieś ziarno prawdy. Wiemy przecież, że zagony tatarskie były tutaj na kresach chlebem powszednim. Zagadkowy kurhan ma zapewne jakiś związek z napadami tych niezwykle groźnych koczowników, Kalnikowa. Z wyjątków zdarzeń zatarł się, w pamięci pozostało ludowe podanie...

Być może, prawdę kalnikowskiego kurhanu odłoni dopiero łopata archeologa...

I na tym wypadaloby skończyć impresje z wyjazdu do położonego na uboczu, z dala od uczęszczanych szlaków, Kalnikowa. Z wyjątkiem specyfiki narodowościowej wieś ta niczym właściwie nie różni się od innych. Chłopi z Kalnikowa dostrzegali szansę, jaką przyniosła naszemu krajowi rewolucja społeczna i starają się tę szansę wykorzystać. Zrobili już dużo, aby wyostać się z wiekowego zacofania, aby przestawić się na nowe metody gospodarowania. Czeka ich jeszcze wiele roboty. Zresztą, jak w całej Polsce...

Projekt monografii Rzeszowszczyzny

Z okazji 25-lecia Polski Ludowej powstał projekt wydania dużej monografii Rzeszowszczyzny obejmującej dzieje rozwoju i perspektywy prawie wszystkich dziedzin życia w okresie powojennym. Rozmowy wstępne na temat wydania monografii przeprowadził z władzami województwa Władysław Negrey, dyrektor oddziału krakowskiego Państwowego Wydawnictwa Naukowego zyskując aprobatę dla projektu. Monografia oprócz obrazu rozwoju naszego regionu w Polsce Ludowej obejmie również ogólny zarys historyczny Rzeszowszczyzny i dzieje ruchu oporu oraz martyrologii w okresie okupacji. Książkę zamierza wydać Państwowe Wydawnictwo Naukowe. jg

Nagroda imienia Stanisława Piętaka

Cheiałśmy dziś zwrócić uwagę czytelników na książkę, która — w sensie dziennikarskiej informacji — na pewno nie jest już nowością: ukazała się bowiem przed siedmioma z górą miesiącami. Lecz dopiero niedawno — po raz drugi została czytelnikom przypomniana. To powieść Wiesława Myśliwskiego „Nagi sad”. Powieść, wyróżniona ostatnio Nagrodą imienia Stanisława Piętaka.

Trafnie określił rzecz Julian Przyboś, mówiąc, że w tę powieść wpisany jest poemat. Istotnie bowiem „Nagi sad” bliższy jest chyba prozą pisanemu poematowi niż powieści w potocznym sensie tego słowa. Ten utwór — zwarty, pełen wewnętrznego napięcia, piękny w swym surowym liryzmie, urzekający urodą słów przesyconych barwą, pełnych siły — jest opowieścią o miłości.

O wielkiej, pełnej ostatecznego oddania miłości ojca do syna. I syna do ojca.

Ta miłość nie wyraża się w słowach, w zewnętrznych deklaracjach. Dla biednego człowieka, który przez całe życie borykał się z losem na małym skrawku ziemi i który nawet konia własnego nie miał — owa miłość do syna staje się jedynym sensem istnienia, najwyższą, najcenniejszą tego istnienia treścią. Gdy o syna idzie, o jego dobro, jego przyszłość (o jego syna, który wolał i wyrzeczaniem ojca zdobywa wykształcenie, a przez to wykształcenie wejść ma w inne, lepsze, nie tak ciężkie życie) — miłość ojcowska nie zna granic poświęcenia, ceny rzeczy, miary troskliwości. Jest to miłość milcząca i pełna wiary, pełna największej delikatności i niezmiennie obecna, trwająca we wszystkim, cokolwiek ojciec czyni.

U ojca pełna wyrzeczeń, upartej, zaciętej ambicji stworzenia dziecku lepszych warunków bytu — u syna owa miłość nie jest także uczuciem prostym. Zdobywszy wykształcenie syn zyskuje zarazem świadomość niedoskonałości ludzkiej wiedzy. Na jego stosunek do ojca składa się teraz nie tylko przywiązanie i wdzięczność. Z biegiem lat — w coraz większym stopniu także i szacunek, i podziw dla prostej, głębokiej mądrości ojca. Owe

mądrości nie książkowej, lecz mądrości ziemi, pracy, najważniejszych spraw człowieczego życia.

Tymi miłościami — ojcowską i synowską — obie postacie książki nawzajem się tworzą, kształtują, budują swój los. Nie ma bowiem egzystencji ludzkiej istniejącej w oderwaniu. Każdy człowiek istnieje także i w innych, i poprzez innych; jest przez nich formowany. „Może dzięki samej obecności w czymś życiu spełnia się po trosze i nasze życie. Bo czymże byłby człowiek ogołocony z radości innych, z ich pragnień, bólów, z ich myśli i niedoczekania, z ich potępienia czy nawet pogardy”.

I tak oto piękna, pełna delikatności i siły opowieść o miłości, opowieść, której głównym bohaterem jest ojciec — otwiera w „Nagim sadzie” nową perspektywę: drugą warstwę treściową książki.

Ta druga warstwa przynosi zapis refleksji i rozważań syna. Zapis czyniony już z perspektywy lat. Gdy tamta, pierwsza warstwa utworu, można by nazwać studium psychologicznym — warstwa druga jest zamysłem nad życiem, nad jego bogactwem i bólem, trwaniem i przemijaniem, nad determinantami człowieczego losu. Nad czasem, pamięcią, nad rolą uczucia w egzystencji ludzkiej. Nad prawdą i złudzeniem w człowieczym życiu. Nad prawami jego istnienia i jego kresu.

W swym artystycznym kształcie, w sile swojej wymowy wydaje się owa druga warstwa utworu tak samo, jak pierwsza doskonała, tak samo przykuwająca uwagę czytelnika barwą i siłą obrazów, intensywnością nastroju, pełnym wewnętrznego skupienia rytmem narracji.

Urodzony w roku 1932 Wiesław Myśliwski jest debiutantem. „Nagi sad”, to jego pierwsza książka. Rzadko, bardzo rzadko zdarzają się debiuty podobnie dojrzałe doskonałością artystycznego kształtu. Przyszłych książek tego autora oczekiwania trzeba z najwyższym zainteresowaniem.

A. H.

Roman Turek

„Nieznanych wojsk w lasach pełno”

Liczący dwudziestu ośmiu szeregowych oddział Gwardii Ludowej wyruszał ze Stobierny pod Sokolowem. Niewielka to była armia, a i dowódca na wielkoluda nie wyglądał zgola. Spokawczy go ktoś nieznanymi powiędziałby z przekonaniem: „Ta ot smarkacz niedorosły; wdział na siebie jedną na drugą starszego brata kurtki dwie i prezentuje jako to w barach rozrosły, a krzepki, udaje waźniaka”. Tym bardziej zasługiwał na podobne określenie, że i twarz miał rumianą młodzieńczo i oczy śmiały mu się ochotą i gotowością, zdawało się tylko do zabawy, muzyki i tańca. Młody był to zresztą chłopiec, dwudziestu trzech lat wieku nie osiągnął jeszcze, ale doświadczony życiem trudnym, ponad wiek swój był poważny, jakieś tam figle ani mu były w głowie. Spędziwszy obfitym w nędzę dzieciństwo w chacie małorolnej rodziny chłopskiej w jednej z podłańcuckich wiosek, w wieku młodzieńczym matczyne progi pożegnał i ruszył w świat w poszukiwaniu chleba, nauki i godnej człowieka egzystencji. Z trudnością znalazł to wszystko w Gdyni, ale dając uparcie do z górą nakreślonego celu odmawiał sobie każdej przyjemności poświęcając wolne chwile pracy i nauce.

Druga wojna światowa zmusiła go do powrotu w strony rodzinne. Tu poświęcił się pracy organizacyjnej w partii i tworzeniu oddziałów Gwardii Ludowej. Nie należy zatem dziwić się, iż Komenda Okręgowa mianowała tak młodego człowieka dowódcą oddziału, któremu powierzono niezwykle poważne zadanie, likwidacji wysługującej się Niemcom placówki polskiej w powiecie lańcuckim. Jakkolwiek w czasie okupacji wystarczyło, gdy dobry Polak podobnemu sobie popatrzył w oczy dla dochowania tajemnicy, oddziały dla dokonywania akcji zbrojnych czy sabotażowych tworzone były z członków konspiracji mieszkających z dala od miejscowości, w której wydarzenia te miały nastąpić.

Jak już powiedzieliśmy na wstępie oddział GL w sile 28 szeregowych wyruszył ze Stobierny. Wojsko to wyglądało groteskowo, wziąć by je raczej było można za udający się do sąsiedniej miejscowości z przedstawieniem amatorski zespół miłośników sztuki scenicznej.

Dla uniknięcia możliwości spotkania z Niemcami, omijali oni uczęszczane szosy publiczne przedzierając się ścieżkami wśród pól i zagajników aż dobrnęli do rozszanych między lasami zagród wioski, Medynia Łańcucka. Zajawszy leżące naprzeciwko siebie po obu stronach drogi dwie zagrody pod kwaterę komendant rozstawił posterunki i czaty, urządzając kilkunastu osobny postój. W myśl jego rozkazu, do zajętych pod kwaterę zagród wolno było przepuścić każdego, natomiast opuścić je nie wolno było nikomu.

Porozumiewając się z obydwiema gospodyniami domów poseszeli im przed oczami iluś tam złotowym banknotem, podrywając je do natychmiastowego warzenia odpowiedniej dla żołnierza stawy z produktów, czym obie chaty były bogate. Zmieniając się na posterunkach i czatach podchodzili szeregowi GL dla spójcia posiłków do zajętych pod kwaterę domów, jedli z misiek podawanych im przez gospodynię, którym zdawało

się, że procesja żarioków nie ma końca i braknie ziemniaków w piwnicy i wody w studni na żur żytni.

— Panie oficerze — zwróciła się jedna z nich do przechadzającego się bez przerwy z jednej do drugiej kwatery dowódcy w niespotykanym w żadnych z widzianych dotąd wojsk dziwnym hełmie na głowie — te pańskie wojska do cna nas objędy i choćby pan drożej jeszcze płacił zechciał, dzieci własnych wygłodzić nie sposób przecież. Może by tak po innych gospodarstwach we wsi porozgaszczal pan żołnierzy po kilku?

— Nie matko, nie obawiajcie się o wasze zapasy. To już ostatni z moich żołnierzy pozostają u was. Z głównej grupy wojsk nikt wam tu o miskę stawy głowy zawracać nie przyjdzie. My idziemy jako oddział ubezpieczający prawą flankę, musimy zatem żyć przemysłem własnym i w zamian za niekorzystanie z kuchni wojskowej otrzymujemy pieniądze na kupno, co nam potrzeba u ludności cywilnej — uspokajał zaczynając się troskać gospodynię — dowódca.

Zdumieni mieszkańcy słuchali tych wypowiedzi w nabożnym skupieniu. W oczach czail się lek jeszcze, bo a nuż pancerne wojska Hitlera z którejś strony wyłonią się raptem i bitwa rozegra się straszliwa. Któż, jak nie oni, którzy z wojska te na kwatery przysparzali chcą nie chcą najbardziej ucierpieć?

Czy i pod tym tu oficerem, na myśl o większym jakim oddziale wojsk niemieckich nogi nie dygotały żdziebko, poznać było nie sposób. Grunt to głowa, ta zaś jakby kleszczami skuta sprawiała cierpienie, a ktoś cierpiąc ma obliże normalne i nie jest zły? Więc i on chodził milejąc z zaciśniętymi szczękami, a z oczu jak szatanowi z piekła skry się sypały.

Marsowość jego jednak i poważna pewność siebie budziły wśród mieszkańców wiarę, raźniej poczynali bić serca, umacniała się ochota wzięcia udziału w czynie zbiorowym, ku pogrzebieniu wroga i wyzwoleniu ziemi ojczystej spod jego drapieżnej władzy. Nie ma ponoć większych mocy jak rozważna odwaga i sugestywna potęga mówionego słowa, zwłaszcza, gdy budzi ono nadzieję na urzeczywistnienie najgorętszych pragnień. Wpływ tych aspektów działa oszalałająco, jak narkotyk. Odurzony nim człowiek zatracca pojęcie rzeczywistości do tego stopnia, iż widzi wszystko opacznie, uszy dobrze im znanych dźwięków też nie zdolają rozpoznawać.

Zaabsorbowany ważnością chwili i odpowiedzialnością za udanie się niełatwego zadania dowódca wyżej wymienionego oddziału też uległ wywołanej przez siebie psychozie i jakby oślepił. Ani spodziewał się, że znany mu doskonale mieszkający w pobliżu jego rodzinnego domu sąsiad, ożeniony był właśnie w Medyni i jak raz tego dnia u kochanych teściów przebywał, gdy blisko mu znajomy partyzant, dom ten pod kwaterę zajął. Jak się to stało, że żaden żaden nie poznał, dzielny dowódca nigdy nie potrafił sobie tego wyjaśnić.

Posiłony ciepłą stawą, oczekawszy do godzin wieczornych oddział partyzantów, wyruszył w wiadomym kierunku, dotarł do miejscowości Grodzisko Dolne, gdzie oloczywszy dający się we zna-

ki okolicznej ludności posterunek policji granatowej zmusił go do poddania się i dozbrojony zdobytym arsenałem, służki niemieckie na cztery wiatry rozpuścił.

Wykonawszy polecenie mu zadane, dowódca oddział partyzantów GL rozpuścił, sam też do domu matki w podłańcuckiej wiosce zdrowo i w całości powrócił. Tajemnica utrzymana została.

Po paru dniach, podczas odbywającego się zebrania konspiracyjnego w mieszkaniu znanego nam dowódcy, zabrał głos jeden z uczestników, mówiąc z nie widzianym u niego zachłyśnięciem:

— Hola z gadaniem koleledzy. Do czynu nam się sposobie trzeba już w czasie najkrótszym. Zbieracie się tu jak stare kumoszki na plotki, radzicie i planujecie coś, ale na nie wiadomo kiedy. A wszystko dlatego, że żadne z was ze wsi się nie ruszy i nie wie co się w świecie... ba, niedaleko nas nawet dzieje. A ja, byłem kilka dni temu u teściów moich w Medyni i na własne oczy widziałem...

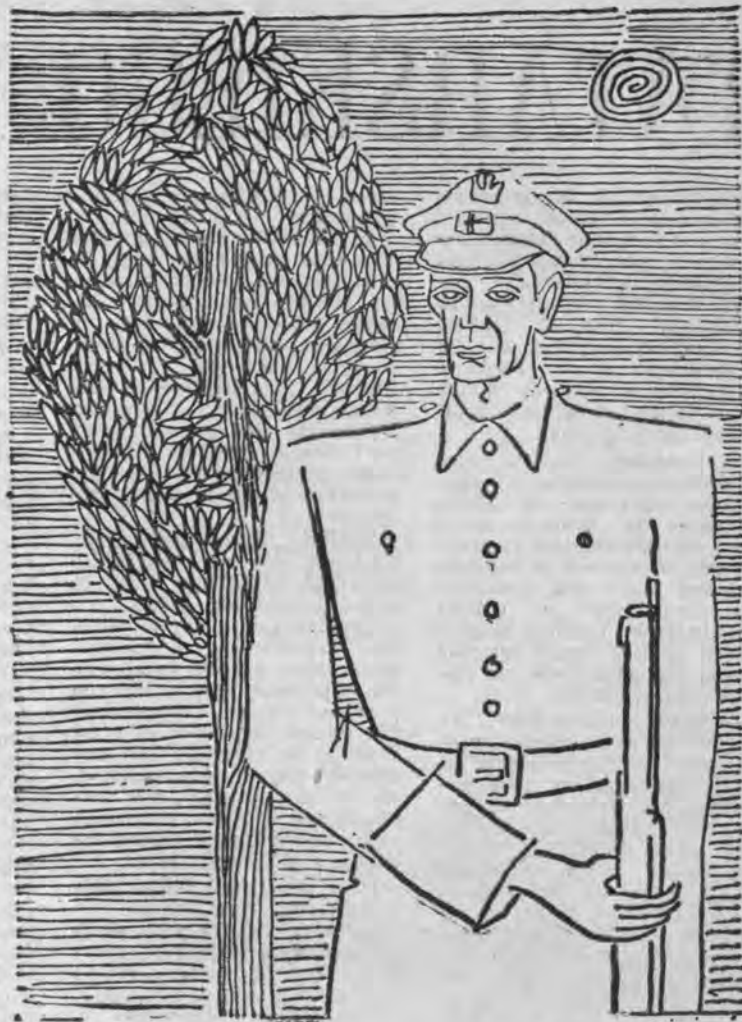
— Coś widział? Mów do diabła — żadni wiadomości, cisnęli się wokół opowiadającego obecni. Dowódca znanego nam już oddziału partyzantów tylko usunął się w kąć i wspierając się na rękę, twarz sobie dtonią zasłonił.

Nosiciel wiadomości wysokiej wagi opowiadał tymczasem:

— Powiadam wam, lasy roją się od nieznanych wojsk — czy ja wiem, Rosjanie to, Francuzi czy Angliki? Polaków w każdym razie niewielu. Uzbrojone!!! Broń maszynowa, armaty; może i czołgi, ale tych nie widziałem. Krowy u ludzi kupują, placą dobrze, kucharkę w kuchniach polowych mięso warzą, cały las przyprawami pachnie. W stodole u mojego teścia z pięćdziesięciu chyba kwaterą stało. Tym nie wolno podchodzić do kuchni polowej, byli w ostrym pogotowiu, zabezpieczali armię w lesie z prawej flanki. Teściowa gotowała im zupę, no, nie mniej jak korec ziemniaków zjedli. Po kilku przychodziło, każdy zjadł, gębę otarł i wracał na placówkę czy do stodoły leżeć. Z tych niczego się nie dowiedział, nie odzywali się. Ten ich komendant tylko bez przerwy posterunki sprawdzał, od domu do domu na kontrolę zachodził, za wszystko co zamówił gotówką płacił. Po polsku nawet nieźle mówił, tylko tak twardo jakos, jak to zwykle cudzoziemiec. Ale sk... syn, dyscyplinę trzymał, a uzbrojony był, niech jego diabli wezmą. Mundury, jak mundury... różne. Jeno te hełmy takie płaskie jakiesi, jak miski. Podobno fason angielski...

Rozgorączkowany opowiadacz nie wiadomo jak długo jeszcze tę rozbudowaną wyobraźnię opowieść by ciągnął, słuchani byli bowiem z równą napiętą ciekawością. Siedzący jednak w kącie właściciel mieszkania wstał ze swego miejsca i tłumacząc się szepcetem spadł nagle na niego niedyspozycją, zebranie tego wieczora odłożył na inny termin i przeprosił obecnych, wszedł po drabinie na strych i zaszył się w siano na dobre zasłużony odpoczynek.

...Że ja tam poznany nie został, to szczęście, ale, że ja tej mały z długim jeżorem nie rozpoznał, no, no... — nie mogąc zasnąć potępił w duchu sam siebie.



Rys. J. SIENKIEWICZ

Kartki dla Ewy

Komplementy

Komplementy są nam bardzo potrzebne. I chociaż mówimy, że zdawkowe grzeczności niewiele są warte, chętnie ich słuchamy. Podnoszą na duchu, przekonują nas do samych siebie. Nawet w największych banałach tkwi ziarno prawdy.

Obdarzanie komplementami należało niegdyś do wielkiej sztuki „savoir-vivre'u”. Ludzie kochali się w duserach. Dziś, czasy się zmieniły, nikt do wybranki nie szepnie: „pisklątko” i „kwiatku”. Nawet najmłodszy do swoich sympatii mówi: „moja stara”. Nie ma dziewcząt i kobiet, są „babki”, „cizie” i „dziopy”. „Dziewczyna” jest najbardziej poetycka, dlatego wszystkie kobiety chcą być dziewczynami, niezależnie od wieku i ilości dzieci. „Babka” zmierzła nam całkowicie. Pragniemy bogatszych metafor i odrobiny inwencji, ale nie cieszą nas porównania, że mamy nogi w stylu empire, fryzury jak kopy siana. Jeśli za kobietą ogląda się jakiś stary koń, to wcale nie dowód, że ma ona sieczkę w głowie. Komplementy z tego tytułu kwalifikują do kopania w kostkę. Do wymierzenia sprawiedliwości można także użyć parasola. Parasolki są, niestety, dość drogie, męskie głowy twarde, nie wiadomo, czy argument przemówi do rozsądku. Tak czy inaczej, gadacze bzdur lepiej załatwiać chłodną pogardą.

Komplementy mówią nie tylko mężczyźni kobietom. Bywa odwrotnie. Złośliwa dama wmawia tepakowi intelekt Einsteina. Biała mu, jeśli uwierzy. Stanie się pośmiewiskiem znajomych. Komplement bowiem ma działać doraźnie. Przeciwbólowo, uspokajająco lub podniecająco — zależnie od okoliczności. Ta aluzyjna forma porozumiewania się wyraża najczęściej bardzo subiektywne uczucia.

Stwierdzenie kumy z sąsiedztwa, że nowy sweter jest paskudny, może dowodzić zazdrości. Pochwała modnego kapelusza nakazuje schować go natychmiast na dno szafy. Uwierzyć życzliwym radom, albo nie wierzyć? Nigdy nie wiadomo, co w trawie piszczy. Jaki interes mają ludzie w tym, aby nam prawie słodkie słówka. Tak na piękne oczy — też pomysły? Oplotkować chcą, czy tylko pożyczyc pieniądze?

Miotamy się wśród sprzecznych opinii i uczuć, łaknąc życzliwego słowa. Gdy nam powiedzą — masz ładną cerę — zamiast uśmiechnąć się, podziękować i dać do zrozumienia, że sprawiono nam przyjemność, meldujemy o dolegliwościach żołądka i nerek, każemy szukać płam wątrobianych i worków pod oczami. Nie inaczej jest w kwestii strojów. Efektowna sukienka! Skądże znowu. Ciuch z przeceny, buty z bubi, płaszcz nicowany, a torebka — szkoda gadać, jeszcze ślubna. Pochwalono dzieci. Przesada. Trzeba się z nimi użerać, bo dom wywracają do góry nogami. Mąż jest nudny, teściowa zgaga, konflikty w pracy. Prędko wyprowadzamy bliźnich ze złudzeń. Niech wiedzą, że mają przed sobą udreżonego przez życie maskarona. A maskaron paple bez sensu. Powinien pluć sobie w brodę, bo od ludzi doczekał się tylko politowania.

Sami negujemy wartości, jakie inni w nas widzą. Obnażamy się z tajemnic, które innych nie obchodzą. Czego w zamian oczekujemy.

Przedstawianie się w najlepszym świetle należy do sztuki życia. Jest to sztuka największa i przez wszystkich ceniona.

BEGA

Na jubileusz 500 rocznicy urodzin astronoma

„Dzieła wszystkie” Mikołaja Kopernika

★ W TRZECH WERSJACH JĘZYKOWYCH
★ WIELOTOMOWE „STUDIA KOPERNIKAŃSKIE”
★ BROSZURY POPULARNONAUKOWE, ALBUMY, MAPY

Placówki naukowe i wydawnictwa przygotowują już specjalne edycje na jubileusz 500 rocznicy urodzin Mikołaja Kopernika. Największym wydarzeniem edytorskim będzie pomnikowe, pierwsze na świecie, pełne krytyczne wydanie „Dzieł wszystkich” wielkiego astronoma, zawierające wszystkie jego prace, nie tylko astronomiczne. Przygotowuje je Pracownia Badań Kopernikańskich Zakładu Historii Nauki i Techniki PAN. „Dzieła wszystkie” ukażą się w trzech tomach. W pierwszym — „Facsimile” — barwna reprodukcja rękopisu „De revolutionibus orbium coelestium” („O obrotach ciał niebieskich”), przechowywanego w zbiorach Biblioteki Jagiellońskiej w Krakowie. W drugim — tekst „De revolutionibus” ze wstępem i komentarzem. W trzecim — inne prace Kopernika. Tomy II i III ukażą się w trzech wersjach językowych: łacińskiej, polskiej i angielskiej.

Obecnie teksty tego wydawnictwa są uściślane w oparciu o rękopisy i poprzednie opra-

cowania nieżyjących już profesorów Aleksandra Birkenmajera i Ryszarda Gansińca. Druk pierwszego tomu rozpocznie się w roku przyszłym, dalszych — w latach następnych. Całość ukaże się na półkach księgarskich w przededniu jubileuszu.

Równocześnie trwają prace nad uzupełnieniem bibliografii dzieł poświęconych Kopernikowi, a także nad tekstami prac monograficznych o naszym wielkim astronomie, pióra współczesnych uczonych. Ukażą się one jako wielotomowe wydawnictwo pod wspólnym tytułem „Studia Kopernikańskie”. Pierwszy tom tego dzieła jest już w druku, następne będą ukazywać się sukcesywnie do roku 1973.

W związku z jubileuszem ukaże się ponadto szereg wydawnictw popularnonaukowych, albumów, map, utworów literackich. Tak np. Towarzystwo Naukowe w Toruniu przygotowuje serię 13 pozycji popularnonaukowych poświęconych Kopernikowi i jego epoce. Służba geodezyjno-kartograficzna zapowiada wydanie specjalnych map w języku polskim i wersjach obcojęzycznych dla turystów zwiedzających zabytki kopernikańskie w Polsce, a także ozdobnych planów Torunia i Olsztyna. Przygotowywane są też wydawnictwa albumowe.



Fot. J. WITOWICZ

WYDZIAŁ KSIĄŻKI

Zygmunt Leśnodorski: WSRÓD LUDZI MOJEGO MIASTA. Wyd. Literackie s. 474, cena 65 zł.

Wspomnienia i zapiski jednego z bardziej znanych ludzi przedwojennego Krakowa, wstępem opatrzył Witold Zechenter. Są to wydane razem książki autora („Wspomnienia i zapiski” — 1959 oraz „Wśród ludzi mojego miasta” — 1963). Na kartach książki odzwierciedlają ulicę i kawiarnie dawnego Krakowa, ludzie w tym okresie żyjący, nadający miastu pod Wawelem swoisty klimat.

August Iwański — senior: PAMIĘTNIKI 1832—1876.

August Iwański — junior: WSPOMNIENIA 1881—1939. Opr. W. Zawadzki. Wstęp: J. Iwaszkiewicz. PIW. s. 574, cena 50 zł.

„Dwa pamiętniki — ojca i syna — przedstawiają dzieje ziemskiej rodziny na przestrzeni przeszło stu lat”. Pisze wydawca na skrzydełku. Także autor wstępu podobnie określa książkę, dodając, że nie tylko fakt pokrewieństwa łączy go z autorami, łączy go również wspólno-

ta klasy społecznej i miejsce zamieszkania obu pamiętnikarzy: Ukraina. Bogaty obraz życia, głównie kulturalnego Polski w latach podanych w tytule.

Zofia Trojanowicz: RZECZ O MŁODOŚCI NORWIDA. Wyd. Poznańskie, s. 232, cena 30 zł.

Książka raczej dla specjalistów lub miłośników twórczości Kamila Cypriana Norwida. O ideowych i artystycznych konsekwencjach wynikających z przynależności do dramaturga i malarza do tzw. drugiego pokolenia romantyków polskich. Ciekawe reprodukcje prac malarskich poety. Należyta dokumentacja zagadnienia.

Jerzy Afanasjew: SEZON KOŁOROWYCH CHMUR. Wyd. Morskie. Album, s. 243, cena 100 zł.

Spotykamy na łamach tej książki nazwy eksperymentalnych teatrów gdańskich: Bim-Bom, Co — To? Cyrk rodziny Afanasjewa. Z teatrzyków tych wywodzi się wielu znanych artystów: Elżbieta Czyżewska, Anna Prucnal, Wojciech Siemion, Bogumił Koblak, Jacek Fedorowicz, autorów: Agnieszka Osiecka, Andrzej Jarecki, piosenkarzy: Sława Przybylska, Ewa Demarczyk, Tadeusz Chyła i in-1. Album jest jak gdyby zbiorem wspomnień o ludziach, programach i życiu prywatnym, zbiorem bogato ilustrowanym i tekstem, i fotografia.

Józef Wargin-Słonimski: AKSEN. Iskry, s. 240, cena 13 zł.

Opowieść autobiograficzna. Literatura faktu. Opowieść o losach człowieka, mocący się nie bez powodzenia konkurować z losami bohaterów powieści awanturnych. Stanisław

Ryszard Dobrowolski, autor postle- wia zestawia omawianą książkę ze „Starym i nowym” Lucjana Rudnickiego.

Roman Samsel: TRZY MARIE I PATRICIA. Iskry, s. 168, cena 10 zł.

Autora znamy z prasy, radia i telewizji. Jest bowiem dziennikarzem, a zarazem autorem opowiadań i powieści. Pozycja omawiana różni się nieco od poprzednich. Nie ma tu bowiem fikcji, jest reportażowa prawda o ludziach i kraju, który opisuje. Opowieść o młodych bohaterach karnawału na Kubie w 1966 roku.

Jerzy J. Wiatr: CZY ZMIERZCHERY IDEOLOGII? KIW. s. 346, cena na 26 zł, Wydanie II rozszerzone i poprawione.

Niektórzy pseudonaukowcy udowodnił, że następuje zmierzch ideologii, potrzeby zajmowania się nią. Efekty tych „nauk”, obserwowaliśmy w tzw. dniach marcowych. Tym bardziej potrzebna jest ta publikacja, w której autor zajmuje się problemami polityki i ideologii we współczesnym świecie. Uzasadnia potrzebę zaangażowania ideowego, walki ideologicznej. W partiach początkowych omawia teoretyczne pojęcia zawarte w temacie.

Dariusz Fikus i Jerzy Urban: SPÓŁCZEŃSTWO W PODRÓŻY. Wyd. Łódzkie, s. 180, cena 10 zł.

„Polskie społeczeństwo wyruszyło w 1945 roku w pełną przygodę, pociągając w drogę — pociągami ze wschodu na zachód, i ze wsi do miasta, ale nam... chodzi o dokonane i ciągle dokonujące się społeczne

przemiany. Piszą autorzy we wstępie. Otrzymałmy więc w sumie obraz społeczeństwa polskiego chwili obecnej. Obraz, z którym można polemizować, można się nie zgadzać, ale jakaś próba to jest...”

Wacław Stankiewicz: LOGISTYKA. Z zagadnień gospodarki wojskowej państw NATO. MON, s. 344, cena 38 zł. Bibl. Wiedzy Wojsk.

Nielatwo jest oddać sens tego słowa, bo jednym polskim nie da się go zastąpić. Jest to bowiem zespół zagadnień związanych z pracą tyłów i kwatermistrzostwa dla sprawnego funkcjonowania organizmu wojskowego. A może źle to określiłem? Książka dla fachowców, ale ciekawie skonstruowana i podobnie napisana.

Franciszek Skibiński: DOWODZENIE WOJSKAMI KOALICJI NA TLE BITWY W NORMANDII. MON, s. 260, cena 27 zł. Bibl. Wiedzy Wojskowej, wyd. II. Popr. i uzup.

Całość uzupełniają mapy i wykresy. ORZECZNICTWO IZBY WOJSKOWEJ SADU NAJWYŻSZEGO ZA LATA 1962—1967. MON, s. 360, cena 30 zł.

A. Kulesza: O SZCZEPIENIACH OCHRONNYCH U DZIECI. PZWL, wyd. VIII popr. i uzup. s. 46, cena 4 zł.

Zenona Zygiert: GDY DZIECKO GORĄCZKUJE. PZWL, s. 47, cena 4 zł.

Helena Słomczyńska: MOJE DZIECKO I JA. PZWL, s. 112, cena 7 zł.

Ewa Supronowicz: CHOROBY I DOLEGLIWOŚCI KOBIECE. PZWL, cena 7 zł.

Na wprost

Nie wydawać!...

Na biurku lekarza dyżurnego pogotowia ratunkowego w N. zabrzącał telefon, gdy wskazówki zegara nie dochodziły do godziny 22. Zresztą, telefonu tego należało się spodziewać. W kilku miejscowości powiatu zorganizowano bowiem w tym dniu ludowe festyny, a w takich dniach lekarze pogotowia ratunkowego nie mogą narzekać na bezczynność. Zawsze coś się wydarzy i alarmowy telefon pogotowia dzwoni.

Tak też było i tym razem! Pogoda była w tym dniu ładna, słoneczna. Również wieczór nastrojał do zabawy.

W S. zorganizowano ludową zabawę. Orkiestra grała skoczne melodie. Przed bufetem tłoczono się po piwo i wino. Mijały kwadransy, godziny. W głowach balowników szumiło coraz mocniej. Rozmowy stawały się coraz głośniejsze. Pokrzykiwania młodzików coraz częściej wybijaly się ponad ogólny ton zabawy. Co bardziej wstrzeżliwi w picu alkoholu biesiadnicy, i ci przyglądający się zabawie z boku — czuli coraz bardziej napiętą atmosferę. Dziewczęta chichotały... Jednym chichoty te przypadły do gustu, inni, do których nie były adresowane, zrywali się na nie.

Coraz wyraźniej rysowały się „obozy” uczestników festynu. Granice administracyjne miejsca zamieszkania grały w tym podziale decydującą rolę. Na festyn przybyli bowiem młodzieńcy z okolicznych wiosek. A wiadomo: „Co on nam tu będzie dziewczuchy obtańcowywał?”

Z początku nikogo to nie raziło, ale gdy alkohol zaszumił w kawalerskich leptynkach... Gdy młokosi, po zmieszaniu piwa i „patykiem pisanego” poczuli werwę i nadmiar energii w mięśniach — zaczęła się rozróbka na całego!

Lekarz pogotowia ratunkowego przywiózł do szpitala dwóch poranionych uczestników zabawy. Po udzieleniu pomocy napisał w świadectwie lekarskim:

„Ob. Stanisław M. w wyniku pobicia doznał dwóch ran kłutych klatki piersiowej w okolicy łopatki, długości około 4 centymetrów. Rany drążą do klatki piersiowej, uszkadzając opłucną. Oprócz tego doznał rany głowy w okolicy

ciemieniowej. Powyższe obrażenia zadane zostały ostrym narzędziem”.

A oto fragment świadectwa jakie lekarz wystawił drugiemu rannemu:

„Emil H. doznał rany ciętej głowy w okolicy potylicznej, długości około 7 centymetrów. Obrażenia zadane zostały narzędziem ostrym”.

Pierwszy z poszkodowanych zezna później:

— Na festynie, po wypiciu piwa, zauważyłem, że koło podłogi do tańca wynikła jakaś bójka. Odszedłem od tego miejsca jakieś 50 m, gdy dobiegło do mnie kilku osobników i jeden z nich uderzył mnie nożem w plecy. Upadłem na ziemię. Napastnicy zaczęli mnie kopać... Dlaczego zostałem pobity? Nie wiem! Z nikim nie miałem żadnego zajścia”.

Oczywiście okoliczności zajścia na zabawie są dość trudne do ustalenia. Awantura obejmuje dużą nieraz ilość jej uczestników. Niektórzy mogą się znaleźć w centrum bójki zupełnie przypadkowo. Świadczenie składają sprzeczne zeznania w drobniejszych, ale koniecznych do ustalenia szczegółach. Toteż prowadzący śledztwo ma trudne do wykonania zadanie.

Rzecz jasna, nie stawiam zadaniem jest postawienie przystawionej kropki nad i. Czyni to sąd i winni popełnienia przestępstwa ponoszą zasłużoną karę.

Zastanawia jednak coś innego. W naszym województwie wiele jest jeszcze takich miejscowości, w których każda zabawa, czy festyn, kończy się bójką. Z góry często można założyć, rozpoczynając bal, że poleje się krew, że wzywane będzie pogotowie ratunkowe. Nie wiadomo tylko, jak potoczą się wydarzenia, gdy w bufecie opróżni się ileś tam butelek „czaru PGR-u” i beczek piwa, kto będzie „pasażerem” karetki?

Dlatego dziwię się, że przy wydawaniu zezwoleń na zorganizowanie zabawy, przed ubiegającymi się o to organizatorami nie stawia się warunku zabezpieczenia ładu i porządku, pełnego bezpieczeństwa. W komitetach organizacyjnych tych imprez „rozrywkowych” są przecież ludzie dorośli. Rozrabiają przeważnie wyrosiki. Czyż nie można sobie z nimi poradzić? Jednemu czy drugiemu zaciętrzewionemu petakowi publicznie wylać na głowę kubel wody, w której płucze się szklanki po piwie?

A jeżeli organizatorzy festynu nie potrafią zapewnić porządku — można po prostu nie wydać zezwolenia na jego urządzenie! Może wreszcie tak rygorystyczne potraktowanie sprawy — poskutkuje!

WOZ.

Aukcja dzieł Picassa

Na aukcji dzieł sztuki nowożytniej, która odbyła się ostatnio w Paryżu, znalazły się dwa obrazy Picassa. Obraz „L'etreinte” ofiarował Picasso swemu przyjacielowi, znakomitemu poecie Apollinaire'owi w 1905 roku. Teraz sprzedano ten obraz za milion franków. Inne dzieło, słynnego „Chłopca z gitarą”, także ofiarowane Apollinaire'owi, kupiono za pół miliona franków.

Na naszym ekranie

Tadeusz Łomnicki

Tegoroczny laureat nagrody państwowej I stopnia za osiągnięcia aktorskie w teatrze, filmie i telewizji — Tadeusz Łomnicki — został aktorem rzekomo przez przypadek, ponieważ w dniu egzaminów na Studium Teatralne przy Teatrze Starym w Krakowie pomylił podobno drzwi i zamiast stanąć przed komisją egzaminującą przyszłych dramaturgów trafił przed jury selekcyjną



kandydatów na aktorów. Musi być w tej anegdocie coś z prawdy, bo w początkach swej drogi twórczej Łomnicki rzeczywiście próbował pisarstwa dla sceny i stworzył kilka sztuk teatralnych. Oprócz aktorstwa w studium krakowskim uczył się także reżyserii w warszawskiej PWST.

Urodził się 18 lipca 1927 r. w Podhajcach. Część lat młodzieńczych spędził na Rzeszowszczyźnie, mieszkając w latach wojny w Dębicy, gdzie uczęszczał do szkoły handlowej (był to jedyny typ szkoły średniej, na jaki zezwolili Niemcy na okupowanych terenach). Po wojnie przeniósł się do Krakowa, gdzie po ukończeniu Studium Teatralnego pracował w Teatrze im. Słowackiego, skąd przeszedł później do Teatru Śląskiego w Katowicach.

W tym samym czasie debiutuje na ekranie w filmie „Dwie godziny”, zapoczątkowując tym samym długoletnią współpracę z kinematografią, której efektem były występy w 24 obrazach ekranowych.

Po „Dwóch godzinach” grał w „Stalowych sercach”, „Dwóch brygadach”, „Załodze”, „Żołnierzu zwycięstwa”, „Piątce z ulicy Barskiej”, ale dopiero rolą Stacha, młodego

bojownika ZWM-owskiego podziemia w filmie „Pokolenie” według powieści Bohdana Czeszki zwraca na siebie uwagę i zdobywa popularność wśród szerokiej publiczności. „Partyzant” w „Bazie ludzi umarłych”, Maniś w „Kamiennym niebie”, Bazyli w „Niewinnych czarodziejach”, Antoni w „Czasie przeszłym” — oto dalsze pełnokrwiste i przekonujące postacie, grane przez tego aktora, zapoczątkowujące cały cykl bardzo interesujących kreacji filmowych. Por. Mosur w „Zerwanym moście”, Jan w „Pierwszym dniu wolności”, znakomity Trepa w ekranizacji powieści Kawalca „Ziemie przypisany” to dalsze (niektóre tylko) przykłady z całej galerii różnorodnych ról filmowych Łomnickiego, którą zamyka aktualnie rola tytułowa w „Panu Wołodyjowskim” według powieści Henryka Sienkiewicza.

Równoległe z osiągnięciami na ekranie aktor zapisuje na swoje konto liczne sukcesy odnoszone na scenie teatralnej. Role tytułowe w „Mazepie” i „Kordianie” Słowackiego, Orestes w „Muchach” Sartre'a oraz „Ifigenii w Taurydzie” Goethego, Arturo w „Karierze Artura Ui” Brechta czy kapitalny Łatka w „Dożywociu” Fredry, to znów tylko część z wielu pięknych kreacji aktorskich laureata (tegoroczna nagroda państwa jest już drugą w karierze Łomnickiego. Pierwszą otrzymał w roku 1964). W ostatnich latach doszły do tego również interesujące role zaprezentowane na ekranie telewizyjnym.

Twórczym credo aktora jest związek ze współczesnością, konieczność ukazania problemów i postaci ludzi naszej epoki. Przed trzema z górą laty w wywiadzie dla „Widnokładu” Tadeusz Łomnicki mówił na temat aktorstwa: — To przede wszystkim umiejętność zobaczenia i wyrażenia w precyzyjny sposób przeżyć dzisiejszego człowieka. Opowiadam się za pracą, której towarzyszą dwa elementy: racjonalizm i rzemiosło. Nie wierzę tym różnym intuicjom. Ciągłe eksperymentuję, nie wyobrażam sobie, aby mogło być inaczej, wszystko dookoła się zmienia, aktor również nie może zatrzymać się na zdobytych pozycjach.

Gratulując wysokiego wyróżnienia, serdecznie życzymy laureatowi dalszych pięknych efektów w jego twórczych poszukiwaniach.



STANISŁAW SWITKOWSKI — działacz kulturalny, pracownik k.o. przy WSK Mielec. Rys. J. SIENKIEWICZ

Podpis pod rysunkiem Jerzego Sienkiewicza w „Widnokładzie” z dnia 28 VII 1968 r. powinien brzmieć: KRZYSZTOFA LACHTARA — ARTYSTA — PLASTYK. Za błąd przepraszamy serdecznie artystkę i czytelników.

Za i przeciw „BONNIE I CLYDE”

„Bonnie i Clyde” — piąty film amerykańskiego reżysera Arthura Penna wzbudził żywy odzew wszędzie tam, gdzie był wyświetlany. Odnosił wielki sukces kasowy w USA, Francji i Wielkiej Brytanii. Wielu potępia go jako wyjątkowo krwawy kryminał, na który chodzi przede wszystkim młodzież, ponieważ propaguje kult gwałtu i brutalności w najokrutniejszej formie. Jednak wielu widzów i krytyków ocenia go zupełnie inaczej. Okrucieństwo i brutalność filmu nie są celem samym w sobie, ale mają podłoże w ówczesnej rzeczywistości społecznej. Nie pozwólmy zmylić się latami dwudziestymi i trzydziestymi — twierdzą — przecież kilka dziesiątków lat później i to samo społeczeństwo nie waha się masakrować niewinnych ludzi w Wietnamie. Jest interesujące, co mówi o swym filmie Arthur Penn:

— Większość ludzi w Stanach Zjednoczonych wstydzi się tego, co dzieje się obecnie w Wietnamie. Organizuje się w USA wiele akcji protestacyjnych przeciwko tej wojnie, nikt jednak nie nakreśla o tym filmu.

Trzeba jednak coś czynić, człowiek nie może pozostać obojętny, nie ma prawa. Dobrze byłoby, gdyby powstał na ten temat ucz-

ciwy scenariusz, ale jest to trudna sprawa. Sam chciałbym go napisać, ale boję się tego podjąć.

Oglądałem w Nowym Jorku „Bitwę o Algier” reż. Pontecorvo. To dobry film, który ukazuje, że na wojnie wszyscy potrafią być okrutni. „Bonnie i Clyde” też przypomina swym klimatem wojnę. Są to czasy „Gron gniewu”, okresu w dziejach USA, gdy ludzie stracili wszystko, co złożyli w bankach. Południowo-zachodni Teksas, o którym nakreślił film, dotknięty był tym kryzysem szczególnie boleśnie. W filmie „Bonnie i Clyde” ukazane jest, jak społeczeństwo niszczy jednostkę pod względem gospodarczym, społecznym, moralnym. Co w tej sytuacji robią Bonnie i Clyde? Wypowiadają wojnę istniejącej rzeczywistości. Chciałem pokazać dwoje młodych ludzi, którzy stali się niejako produktem swoich czasów. Nie pochwalam ich, ale i nie potępiam, śledzę jedynie ich losy aż do końca.

Jestem przekonany, że sukces filmu, zwłaszcza u młodych widzów w Ameryce, tłumaczyć należy bynajmniej nie propagowaniem anarchii, ale przede wszystkim tym, że jest to utwór potępiający gwałt i wojnę.

(Kt.-PAP)



Jan w „Pierwszym dniu wolności”



Por. Mosur w „Zerwanym moście”



Bazyli w „Niewinnych czarodziejach”



Teatr. Tytułowa postać w „Karierze Artura Ui” Bertolta Brechta.

ZDARZENIA TYGODNIA

W niedzielę, 4 bm. w Krościenku, pow. Ustrzyki Dolne, odbędzie się wielki wiec przyjaźni z udziałem mieszkańców przygranicznych miejscowości Związku Radzieckiego i Polski. Poza oficjalną część w programie przewidziane są występy zespołów artystycznych. Ze strony polskiej wezmą udział: Zespół Pieśni i Tańca z Gaci, pow. Przeworsk, kapela Wojewódzkiego Domu Kultury w Rzeszowie i z Bud Łańcuckich.

Jak już informowaliśmy, w ubiegłym tygodniu rozstrzygnięty został konkurs na pamiątkarstwo regionalne województwa rzeszowskiego. Podawaliśmy również nazwiska trzech najlepszych twórców. Dziś natomiast odnotowujemy, że w dniu 31 ub. m. w Muzeum Okręgowym w Rzeszowie odbyło się spotkanie z uczestnikami, których przybyło na uroczystość około 30. W imieniu organizatorów, tj. Muzeum Okręgowego i Wydziałów Kultury i Handlu Prezydium WRN zebranych serdecznie powitał dyrektor Muzeum, dr Franciszek Błoński, przedstawiając plan konkursu. Następnie przedstawił Wydział Kultury mgr Stanisław Kucia po krótkiej ocenie przebiegu konkursu i nadesłanych prac wręczył nagrody. Przedstawiciel Wydziału Kultury mgr Stanisław Kucia po krótkiej ocenie przebiegu konkursu i nadesłanych prac wręczył nagrody. Przedstawiciel Wydziału Handlu Prez. WRN poinformował zebranych, że otwarty w Rzeszowie sklep pamiątkarski (przy ul. Grunwaldzkiej) będzie prowadził zakup wyrobów od indywidualnych twórców, co powinno ich zachęcić do większej aktywności. Zabierali także głos przedstawiciele Działu Etnograficznego Muzeum oraz Zarządu Okręgu PTTK w Rzeszowie, Doc. Franciszek Kotula mówił o walorach tego rodzaju twórczości z punktu widzenia etnografii, a Bronisław Cmelca o akcji popularyzacji pamiątek regionalnych naszego województwa, prowadzonej przez działaczy PTTK. Podczas spotkania podjęto również decyzje o przedłużeniu terminu trwania ekspozycji nadesłanych na konkurs prac — do 10 sierpnia br.

Już chyba od kilku lat w tym miejscu informujemy Czytelników o badaniach prowadzonych przez Dział Etnograficzny rzeszowskiego Muzeum Okręgowego. Objęły one już kilka regionów naszego województwa.

4 bm. rozpoczyna działalność oboz naukowy pracowników tej placówki, którego bazą będzie Rzeszów, a terenem badań bliższe i dalsze jego okolice. Obejmą one dziedziny twórczości ludowej, jak np. zwyczaj, budownictwo, plastykę, obrzędy, folklor słowny i muzyczny oraz legendy i podania. Warto tu jeszcze podkreślić, że pracownicy Działu Archeologicznego pod kierownictwem doc. Franciszka Kotuli prowadzą działalność dokumentacyjną, utrwalając na zdjęciach, rysunkach i taśmie magnetofonowej badane dziedziny twórczości.

W sobotę, tj. 3 bm. w rzeszowskim Domu Sztuki otwarte zostaną dwie wystawy. Jedną z nich będzie ekspozycja malarstwa Marii Markowskiej, członka krakowskiego Oddziału Związku Polskich Artystów Plastyków.

Na drugą złożą się fotografie Mariana Murmana, zatytułowane „Ballada o zamczysku”. Jest to jakby reportaż z zamku w Odrzykoniu, widziany obiektywem tego fotografika z Wybrzeża, znanego mieszkańcom naszego miasta z ekspozycji pt. „Stutthof”, prezentowanej również w Domu Sztuki przed kilku laty.